№ 26. Warszawa, dnia 26 (14) Czerwca 1886 r. **Rok VI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Do dzisiejszego numeru dołącza się jako dodatek kwartalny, dokończenie **Logiki** Liarda.

POLITYKA.

OBŁĘD NA TRONIE.

Zaledwie król bawarski zamknął oczy, z życia jego rozeszła się po prasie europejskiej taka woń, jak z ciała człowieka, który długo chorował. Okazało się bowiem, że na tronie siedział waryat, któremu w gwałtowniejszych wybuchach nakładano konstytucyjny kaftan, ale który od pierwszej chwili swych rządów działał w obłędzie. Dla honoru narodowego, dla wielu zresztą innych względów trzeba w ludzi wmawiać, że ów obłęd był wypadkiem czasów ostatnich; kto wszakże zestawi obficie i bez przeszkody już dziś wyrywające się na swobodę szczegóły jego życia, ten obronę dra Schleissa uzna za takie same chybione mędrkowanie, jak wywody owego niemca, przypisującego dramaty Shakespeare'a — Baconowi.

Już w dziedzictwie Ludwik II zdradzał chorobliwą manię wielkości (paranoia). Doprowadzając *ad absurdum* przyszłą swą rolę (waryactwo często polega na niezłomnej konsekwencyi), jako dziecko już nie pozwalał nikomu ze zwykłych śmiertelników dotykać się, tak że raz musiano użyć wielu trudów, zanim lekarz zbadał mu puls. Zostawszy królem, miewał — jak wszyscy cierpiący na zboczenia umysłowe — stany zupełnej prawidłowości rozumu, ale nigdy nie opuszczała go mania wielkiego o sobie mniemania. Zawiedzioną miłością, upodobaniem w samotności, wreszcie artyzmem tłomaczono jego różne dziwactwa; dziś okazuje się, że one płynęły z tego samego źródła, co i szał jego brata, obecnego króla a oddawna ubezwłasnowolnionego kaleki. Logicznie rozwijając ideę swojego majestatu, przesłonił się obłokiem przed oczami poddanych, z po za którego wychodził tylko dla objawienia swej woli. Mieszkania tak urządzał, ażeby mógł ukazywać się nagle i znikać śród złudzeń teatralnych, a nierzadko dawał ministrom posłuchania niewidzialny. Sypialnia jego w jednym zamku przedstawiała kaplicę, w której na miejscu ołtarza stało łóżko. Ażeby tem większą otoczyć się tajemniczością i urokiem, występował tylko w nocy. Nigdy nie wiedziano, gdzie jest i co robi, a nieraz, gdy przypuszczano, że siedzi w zamku, wracał z gór lub zawiadamiał, że siedzi w chacie. W kierunku romantycznej półboskości popchnęła go silnie muzyka i treść oper Wagnera, który dziwaczną fantastycznością rozstrajał umysł króla. Legendowe postacie godziły się doskonale z jego wyobrażeniami o swem nadziemskiem posłannictwie. Poznawszy Lohengrina, zapragnął Ludwik, jak ten bohater, pływać na łabędziu. Kazał więc zrobić na dachu zamkowym basen, napełniony zabarwioną wodą, po której pływał w łódce, ciągnionej przez sztucznego łabędzia, dopóki się nie skąpał i nie zaprzestał tej rozrywki. Zdziwiono się niepomiernie, że pomimo swych szlachetnych uczuć żądał, ażeby ministrów ochłostano i wyłupiono im oczy, a służbę za przekroczenie skazywał na tortury, że fryzyerowi swemu czy lokajowi powierzył utworzenie nowego gabinetu; tymczasem okrucieństwo to było bardzo zrozumiałem w człowieku, który nie uważał się za człowieka i którego musiał oburzać opór ludzi — według niego i wobec niego — sobie równych, od lokaja do ministra.

Kronika tego obłędu jest tak bogatą, że na poparcie go możnaby przytoczyć setki bardzo wymownych dowodów; nie będziemy wszakże trudzili nimi uwagi czytelników, gdyż nas z oddalenia obchodzą tylko zasady i wypadki o wpływie szerszym, niż koło interesów miejscowych. Ministrowie złożyli przedstawicielom narodu cały materyał, uzasadniający odsunięcie króla od steru i powołanie regencyi, żądając, ażeby akta te za pośrednictwem sprawozdań dziennikarskich nie zostały przeniesione na widok publiczny. Odgadnąć łatwo, że tu nie idzie — jak plotka utrzymuje — o zatarcie śladów „gwałtu," popełnionego na osobie monarchy, ale o zamknięcie ust słusznej skardze na doradców korony, że wcześniej nie położyli tamy obłąkanej swawoli. Pomieszanie zmysłów Ludwika ministrowie widzieli dawno, ale bądź z obawy, bądź z poczucia korzyści, jaką im zapewniało to bezgłowie państwowe, zakrywali prawdę. Dziś więc naród, poznawszy ją, mógłby ich obciążyć wielką odpowiedzialnością za postępki króla, i to nietylko za marnotrawstwo, ale za spiskowanie z francuskimi Orleanami przeciwko Niemcom. Nie chcą ogółowi otworzyć drzwi podczas obrad, bo znają swoją winę.

Jeżeli dla bawarów przykrą być musi myśl, że przez lat tyle podlegali rządom waryata, to drugi waryat, zasiadający po nim na tronie, tworzy położenie rozpaczliwe. Bo uprzytomnijmy sobie tylko uczucia narodu w takiej chwili, nie zapominajmy, że on składa przysięgę na wierność obłąkanemu i że wszystkie władze działać będą w imieniu obłąkanego. O powrocie bowiem Ottona do zdrowia nie ma już mowy: zamrze on w swojem kuracyjnem więzieniu. Ominąć go przy następstwie tronu nie zdołano, gdyż konstytucya bawarska nie przewiduje takiego wypadku i nie daje odpowiedniej dyspensy. Faktycznie rządzić będzie Luitpold, ale majestat królewski pozostanie na nieszczęśliwym szaleńcu.

Przykład ten jest nadzwyczaj pouczającym. Mamy przeduprawnienie idei, ogołoconej zupełnie z postaci realnej, mamy niedorzeczność legitymistyczną w całej swojej chwale. To nie monarchizm osobowy, konkretny, ale czysto formalny. Na tronie zasiada nie człowiek, mogący źle lub dobrze sprawować rządy, ale widmo, lalka bezwładna. Wyroki i ustawy wychodzą w imieniu istoty, która nie ma na nie żadnego wpływu, która nawet o nich nie wie. W łonie aż do bezsensu ścisłej prawowitości wylęga się jaskrawa nieprawość, która nadużywa cudzego imienia, która niepytaną wolę podstawia w ramy swej własnej, która gra bezczelną komedyę. „Jego Królewska Mość Otto raczył itd.“, a Jego Królewska Mość Otto niczego nie raczy, bo siedzi w szpitalu waryatów i o niczem nie wie. Jest to niby legitymizm, a właściwie jest to bądź gwałt, bądź farsa. Czemuż nie ominąć tej chińszczyzny i nie powierzyć korony regentowi, zamiast nią, jak gdyby na urągowisko, ozdabiać głowę nieszczęśliwego waryata? Czy on zasłużył na te błazeństwa, czy one odpowiadają godności narodu? Sami wyznawcy idei nie powinni skazywać jej na taką poniewierkę i ograniczenie prawdziwie karnawałowe, zwłaszcza jeśli ją tak skompromitował przedstawiciel poprzedni. Pojmujemy cześć dla niej bez względu na takie lub inne wcielenie, ale nie pojmujemy dobrowolnego pośmiechu. Obecny rząd bawarski jest wprost humorystycznym rządem z *Fliegende Blätter* lub operety.

Są to wszakże uwagi, nastręczające się ze stanowiska bawarskiego. My możemy być tylko obojętnymi jej widzami i nie odczuwać smutku tam, gdzie go patryotyzm miejscowy odnajduje.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Działalność przedwyborcza w Anglii rozpoczęła się już w najlepsze, wybitniejsi przewódcy ogłaszają manifesty i zwołują meetingi. Wyborcy liberalni, wbrew oczekiwaniom przeciwników billu, powszechnie prawie oświadczają się za polityką irlandzką Gladstone'a. Za wskazówkę tego usposobienia służyć mogą owacye, jakich przedmiotem był ów mąż stanu w podróży swej do Edymburga. Hartingtonowi, który wraz z kilkudziesięcioma stronnikami, t. z. umiarkowanymi whigami głosował przeciw billowi, wyborcy jego dali naganę. Irlandczycy krzątają się także i czynią, co mogą, dla ułatwienia zwycięstwa Gladstone'owi. Parnell ma zresztą kłopot z odłamem rewolucyjnym stronnictwa narodowego, które dotychczas zachowywało się dosyć spokojnie, oczekując na rezultaty obrad parlamentu, a obecnie znowu oświadcza, iż zamierza powrócić do „polityki dynamitowej.“ Homerulerzy zaś nie mogą stanowczo zerwać związku z partyą skrajną, ponieważ groźba powstania i odwetu dynamitowego jest i dla nich orężem w walce, zapomocą którego spodziewają się pozyskać ustępstwa i którego w ostatecznym razie sami użyją.

Austryacka Rada państwa po dwudniowych rozprawach nad cłem od nafty odrzuciła większością 6-ciu głosów wniosek Suessa, uchwaliła zaś poprawkę Abrahamowicza, podnoszącą cło od nafty nieoczyszczonej do 2 złr. Dwunastu posłów polskich wstrzymało się od głosowania, żeby nie zrywać solidarności z Kołem. Komiczny i poniżający był widok posłów polskich, którzy podczas rozpraw nie zabierali wcale głosu, podówczas gdy niemcy wymownie bronili interesów Galicyi. Mniejsza o to, jaki cel ostatecznie mieli centraliści, ale dla wyświetlenia sprawy nagromadzili tyle dowodów, że bojaźliwa polityka Koła polskiego staje dziś w gorszem jeszcze oświetleniu. Dunajewskiemu wprost zarzucali wspólkę z przemytnikami, minister zaś mógł odpowiedzieć tylko, że godność własna nie pozwala mu tłomaczyć się z zarzutu. Opinia publiczna w kraju, jakkolwiek zbałamucona i zahukana, coraz wyraźniej oświadcza się przeciw większości Koła, dowodem tego są np. wybory w Stryju, gdzie nawet szlachta odrzuciła kandydata zachowawczego i wybrała p. Szczepańskiego, człowieka przekonań liberalnych, który zresztą, jako przemysłowiec naftowy, wyraźnie potępia zachowanie się Koła.

Mowa księcia bułgarskiego o zjednoczeniu narodu nie podobała się dyplomatom, bardziej jeszcze oburzają się niektórzy, że i zjednoczenie faktyczne odbywa się pospiesznie i stanowczo, bez pozwolenia Europy. Podobno nawet ze strony jednego mocarstwa czyniony jest na Portę nacisk, ażeby powstrzymała zapędy księcia Aleksandra, które wywołać mogą nowe zawikłania.

Trikupisowi udało się przeprowadzić reformę zbawienną dla Grecyi. Dotychczas z każdych 10,000 ludności wysyłano do parlamentu jednego przedstawiciela i z każdym rokiem zwiększała się liczba deputowanych, która obecnie doszła do 245. Teraz postanowiono zmniejszyć liczbę posłów do 150 i znieść głosowanie okręgami, natomiast zaś zaprowadzić głosowanie z listy, zapomocą tego środka rząd spodziewa się wykorzenić przekupstwa i inne nadużycia, jakie działy się otwarcie przy wyborach.

W Belgii miały miejsce znowu rozruchy robotnicze, które przecież nie przybrały tak groźnych rozmiarów, jak poprzednie. Wzburzenie umysłów trwa ciągle, rząd zaś nie widzi innych środków zaradczych, jak: rozwiązywanie zebrań i konfiskaty dzienników lub aresztowanie redaktorów. Postępowanie tego rodzaju rozdrażnia tylko umysły i doprowadzi w końcu do strasznego wybuchu namiętności.

Komisya senatu francuskiego oświadczyła się przeciw ustawie o wydalaniu książąt, rządowi jednak udało się przeprowadzić ją w Izbie wyższej, chociaż dosyć słabą większością głosów, gabinet bowiem oświadczył, iż w przeciwnym razie podaje się do dymisyi.

Eskadra francuska zajęła Nowe Hebrydy w Australii. Wyspy te znajdowały się dotychczas pod opieką brytańską, Anglia wiec żąda usunięcia załogi francuskiej, z Paryża zaś odpowiadają, że uczynią to chętnie, ale po wyjaśnieniu sprawy. W rezultacie nastąpi zapewne jakaś umowa, na której obie strony nie stracą.

BADANIA NAUKOWE.

USTRÓJ SPOŁECZNY
U LUDÓW PIERWOTNYCH.

I.

Hypoteza Darwina, teorye Lyella, wykopaliska paleontologiczne i wykrycie co-

---

2)

POWIEŚĆ.

ODDECHY.

Jakkolwiek Trinkbier, otrzymawszy wyższą pensyę, nie potrzebował pragnąć bezdzietności, jednakże wkrótce przekonał się, że oszczędność nieba w błogosławieniu go byłaby bardzo pożądaną.

W ciągu czterech lat dało mu ono trzech synów i chorobę żony. Panna Kinkel, która posiadała objętość znaczną i wygląd, usuwający zupełnie powody obawy o jej wytrzymałość, jako pani Trinkbier zawiodła poniekąd nadzieje męża: zaczęła chudnąć, marnieć i trzeciego dziecka sama już wykarmić nie mogła.

Przybyła więc mamka, wcale nieprzewidywana w budżecie domowym, a — co gorsza — przybył nowy syn, poderwawszy jeszcze mocniej zdrowie matki. Karmiono go już mlekiem krowiem i w głębi serca życzono sobie, ażeby szybko opuścił macoszą ziemię, która po urodzeniu odmówiła mu piersi ludzkiej i radości rodziców, a potem odmówiłaby może chleba.

Po krótkim spokoju Trinkbier znowu bał się.

Wobec zwierzchności czuł się dość umocowanym na urzędzie, ale od lat kilku, prócz pokory i pracy, które uważał za swój obowiązek, do dawnych dobrych kresek nie dodał żadnej świeżej zasługą wyjątkową. O posunięciu się więc ku górze zwątpił, gdyż zaczęły zaczęły wykazywać konieczność usuwania „obcych żywiołów“ z urzędowania, a towarzysz biurowy spytał go znacząco:

— Właściwie pan jesteś polakiem?

— Trinkbier — polak?

— Kiedy pan — odparł kolega — dawniej nazywałeś się Tryncza i dopiero od wojny...

— Przechrzcił mnie pułkownik Kischke — wykrztusił Trinkbier, któremu omdlały głos w gardle uwiązł. Po chwili dodał, zdobywając się na lepszą minę:

— Zapewne pan i o tem wiesz, że za dowcipne wybadanie chłopa francuskiego dostałem krzyż, że przyczyniłem się do zwycięstwa narodowo-liberała w Poznaniu, że...

— Wiem — zakończył niemiec — i na urodziny powinszuję panu.

Rozmowa ta, odbijająca w sobie prąd przebiegający gazety i niewątpliwie tryskający ze sfer wyższych, zaklinowała Trinkbiera. Po długich dumaniach doszedł on do wniosku, że swoją niemieckość musi ponownie czemś zaznaczyć — wymaga tego zarówno teraźniejsze bezpieczeństwo, jak i przyszły awans. Ale po jakie wawrzyny polityczne sięgnąć może skromny urzędnik magistratu? Będzie wypierał się swego pochodzenia, spotwarzał swoich rodaków, śpiewał „Wacht am Rhein,“ wyznawał „narodowo-liberalizm?“ Wszystko to Trinkbier robił, a przecież widocznie nie starł z siebie narodowego piętna, skoro mu je z szyderstwem wskazywano.

Przez pół roku chodził codziennie po tych samych wałach miejskich, na których kiedyś przebierał kobiety, mogące go uszczęśliwić — i rozmyślał nad sposobami załatania na drugiej skórze narodowej wszelkich dziurek. Nareszcie pewnego wieczora stanął, jak gdyby olśniony nagłym i wielkim wynalazkiem. Twarz rozpogodziła mu się, na usta wybiegł uśmiech, z oczu strzeliło wesele. Była to wszakże przemiana krótka, bo natychmiast radość rozpłynęła się w pognębieniu, które ją zmyło i zamroczyło cieniem wewnętrznej walki. Jak zwykle w trudnych wypadkach poszedł do żony i otworzył przed nią swo-

raz wcześniejszych dowodów bytności człowieka — wszystko to dodało silnego bodźca pracom w kierunku zbadania praw rozwoju ludzkości i zadziergania na tle teoryi rozwojowej świata organicznego również dziejów naszego rodu. Jak żył i bytował człowiek przedhistoryczny, jakiemi drogami powstały i postępowały obecne ukształtowania społeczne, jak kroczył umysł człowieka, jak rozkwitał świat jego uczuć, pojęć etycznych i kategoryj estetycznych — oto kilka pytań, coraz częściej zatrącanych przez coraz liczniejsze grona mężów nauki. Ukazują się prace Lubbocka, Mac Lennana, Tylora, Hovelacque'a i in., a wszystkie opierają się na założeniu, że ludzkość rozwijała się w sposób „przyrodzony," tak samo jak cały wszechświat — mocą właściwych sobie praw „naturalnych." Wszystkie też wychodzą jeszcze z drugiego wspólnego przypuszczenia, mianowicie, że teraźniejszość ludów „dzikich" przedstawia tylko jakby zastygłą i skrzepłą przeszłość obecnych szczepów „cywilizowanych." W ogólnych swych zarysach rasy wszystkie rozwijałyby się według tych samych praw — z tą jedynie różnicą, że niektóre, dzięki sprzyjającym okolicznościom (np. różnorodności geograficznej i klimatycznej, otoczenia itd.) oddawna przebyły te stopnie, na których wskutek warunków niedogodnych (braku np. zupełnego zwierząt oswajalnych) inne stężały nieruchomie. Obecne więc ludy pierwotne dochowałyby nam przeszłość naszą, a ponieważ znajdujemy nader rozmaite fazy, stanowiące pospołu niby drabinę z nieznieszczonymi jeszcze szczeblami najgłówniejszymi, możnaby przeto zapoznać się z przebiegiem rozwoju ras najwyżej posuniętych, śledząc za instytucyami społecznemi, postępem umysłowym itd. wśród różnych szczepów „dzikich" teraźniejszości. Przeszłość zatem Europy, owa wiązanka zdarzeń i zmian w tej samej miejscowości, lecz w różnym czasie zaszłych, rozpościera się obecnie przed okiem naszem w różnych okolicach globu ziemskiego. Oto australijczyk maluje w swym bycie tę epokę, kiedy „europejczyk" tułał się po swym lądzie, nagi jeszcze i prawie bezbronny. Nasypy kuchenne na ziemi ognistej oraz tryb życia „tubylców" owego niegościnnego archipelagu odzwierciadlają te czasy odległe, gdy wśród wysp, z których wyłoniła się Dania teraźniejsza, koczował dziki nasz przodek i przed szałasem rzucał ogryzki uczt swych z mięczaków. Lapończycy dochowali nam obraz ludu, co przed wielu wiekami, bo dziesiątkami wieków, pędził żywot w obecnej Francyi, przechodząc z miejsca na miejsce z swemi olbrzymiemi stadami reniferów. Czerwonoskórzy wskrzeszają byt społeczny plemion germańskich z początków ery naszej, niektóre osiadłe plemiona murzyńskie żywcem odtwarzają warunki, wśród których wszczęły swe życie miasta, a gmina hinduska wyjaśnia sporo ciemnych punktów z genezy feudalizmu.

Że rozwój ludzkości postępuje jednakowo u ras wszystkich — oto punkt wyjścia dla nauki o człowieczeństwie uspołecznionem, której nadano miano socyologii. Odpowiednio do tego, metodą jedynie uprawnioną w tej nauce jest metoda porównawcza. Chodzi więc przedewszystkiem o zebranie materyału faktycznego, na podstawie którego snulibyśmy wątek porównań, a materyał taki może być zebrany jedynie na miejscu samem, wśród szczepów różnych. Socyologia bowiem, skoro raz zgodziła się, że ludzkość bezustannie kroczy gdzieś dalej w swym bycie społecznym, że kategorye pożycia spólnego ludzi pomiędzy sobą są czasowe, względne, winna tem samem przyjąć wniosek nieunikniony, że między ustrojem ludów cywilizowanych a człowieka pierwotnego istnieje cała przepaść różnic, o której niepodobna najmniejszego powziąć wyobrażenia, siedząc w czterech ścianach gabinetu, wśród studyów nad ukształtowaniem społecznem świata cywilizowanego. Podobnie jak zoolog z badań nad kręgowcem w żaden sposób nie zdoła wykreślić żadnego pojęcia o budowie organizmów niższych, jakkolwiek i te i tamte wyłoniły się z jednego pnia wspólnego, bo tu należy wziąć pod skalpel ów organizm i zbadać go bezpośrednio. Tak samo socyolog potrzebuje posiadać materyał faktyczny, któryby rysował bezpośrednią rzeczywistość ludów pierwotnych, i posiada też go pod postacią różnych opisów podróży. Atoli, użytkując z materyału takiego, winniśmy pamiętać o rdzennej różnicy, istniejącej między zbieraniem go wśród dziedziny zjawisk społecznych a jakichbądź innych. Zoolog bada bez żadnych uprzedzeń, zachowuje się wobec przedmiotu swych poszukiwań objektywnie. Inaczej dzieje się z materyałem surowym w socyologii, a nietylko z nim, lecz i z samym jego zbieraczem. Do badań nad okazem świata zwierzęcego przystępuje specyalista, przygotowany przez studya uprzednie; nie to widzimy przy rozpatrywaniu materyału surowego w nauce o ludzkości uspołecznionej. Przypatrzmy się bowiem, kto dostarcza przeważnie opisów ludów pierwotnych. Oto albo misyonarz, który udaje się do krajów zamorskich dla rozpowszechniania chrystyanizmu i krom znajomości Biblii i obrzędów religijnych niewładający przygotowaniem, umożebniającem mu bezstronność badania i zapewniającem zrozumienie pierwocin cywilizacyi. Przebywa lat kilka, styka się z różnemi stronami życia tamtejszego, lecz szkła przesądów religijnych każą mu widzieć wszystko nie w przedmiotowem świetle faktu przyrodniczego, tak dobrze normalnego, jak wszelki inny objaw natury. Na urządzenia ludów pierwotnych patrzy, jako na dowód cofnięcia się wstecz ludzkości, skutkiem ciążącego na niej przekleństwa boga; więc tem samem i całokształt obcowania społecznego szczepów dzikich nie posiada dlań cienia najmniejszego przyrodzoności, ale przeciwnie, stanowi chaotyczne i niepowiązane zbiorowisko różnych „zbłąkań," „fałszów," różnych odchyleń się od ustroju „zdrowotnego." Zamiast zbadać naukowo stosunki pokrewieństwa lub pożycia małżeńskiego, już we wszystkiem widzi z góry „rozpasanie;" zamiast śledzić za czynnikami rozwoju religij pierwotnych, chrzci je zaćmieniem umysłu. Atoli, mimo to wszystko, misyonarz dostarcza jeszcze materyału nader wydajnego naukowo w porównaniu z opowieściami podróżników, co butelkę lub stolik zielony zamienili na awanturowanie się po obczyźnie dalekiej. Taki turysta przebywa na jednem miejscu zaledwie miesięcy kilka, jeśli nie krócej — bez znajomości języka, prócz kilku słów najcodzienniejszego użytku, bez odpowiednich studyów na polu nauk społecznych; czyliż on może uchwycić cokolwiek więcej nad zewnętrzne oblicze ludów pierwotnych? nad takie cechy, jak strój, zachowanie się członków plemienia pomiędzy sobą, stronę obrzędową religii, skrupulatne dzielenie się otrzymanymi przedmiotami, dochodzące do tego, że skoro jeden dostanie np. chustę, rozdziera ją natychmiast na setne strzępy, by każdemu z pośród towarzyszy dać kawałek? Pod tło owo natury zewnętrznej, turysta radby podłożyć jakieś wytłomaczenie — ale jakie? Nic w tem osobliwego, że zaczerpnie je z pośród otaczającego go za lat dziecinnych i znajomego mu dobrze świata społecznego ludów cywilizowanych. Wprowadzi kategorye królów i poddanych, panów i niewolników, lub obwieści, że plemię przezeń oglądane

---

je serce. Zastał ją smutną i jeszcze mizerniejszą, niż zwykle.

— Wiesz co—rzekł—jestem przekonany, że Pan Bóg ma do mnie jakiś żal.

— E, wątpię — odezwała się kobieta, z gorzkim uśmiechem — ja sądzę, że ma do ciebie szczególną słabość.

— Gdzie tam, moja droga, ty ciągle chorujesz, niedostatek do domu zagląda...

— Ale za to przybędzie piąte dziecko.

— Co! — krzyknął Trinkbier, chwytając się za głowę. Nie żartujesz?

— Nie, Lorenz, nie.

Oniemiał, bo była to nowina niespodziewana, chociaż całkiem naturalna. Długo chodził po pokoju, ciężko wzdychając i szarpiąc podbródek, nareszcie stanął przed żoną.

— Tak — szepnął — Pan Bóg gniewa się na mnie i wskazuje mi drogę poprawy.

— Jaką? — spytała obojętnie kobieta.

— Nie może on błogosławić rodziny, w której mąż modli się inaczej, a żona inaczej.

— O, nie żądaj ode mnie tej ofiary — zawołała boleśnie — nie zmienię mojej religii.

— Ale ja zmienię moją — rzekł z wysiloną stanowczością.

Podała mu rękę i uścisnęła go.

— Dziękuję ci, to lepiej, daleko lepiej.

Zaczął ją całować i pieścić tak zawzięcie, że zaledwie rzewną prośbą powstrzymała te czułości w uwzględniających jej stan granicach.

— Zobaczysz — mówił — będziesz zdrowa, rumiana, tłusta, jak dawniej. Dzieci mamy dosyć, Bóg widzi, że więcej nam nie potrzeba. Przy jego pomocy dostanę lepszą posadę. Wtedy pojedziemy w góry szląskie, jak cię kocham, pojedziemy. To już postanowione.

Mimo to noc spędził nie dobrze. Snu złapać nie mógł, rzucał się na łóżku, wzdychał, szeptał do siebie i dopiero nad ranem zasnął. Upłynęło dni kilka, a on nie zrobił ani jednego kroku w swem przedsięwzięciu. Bał się...

Tymczasem, idąc do biura, spotkał ojca żony, który powitał go kwaśno.

— Piękna historya — rzekł teść. Słyszę, że Ludwika znowu ma zostać matką. Tobie się zdaje, że dzieci — to bułki? Tfu, do dyabła.

— Trudno—bąknął nieśmiało zięć — co robić.

— Co? — wrzasnął stary. Pisać urzędowe papiery, pisać, pisać w dzień i w nocy, to się rozerwiesz. A kiedy już wszystko napiszesz, zacznij przepisywać.

— Ba! — odparł zięć.

— Ba! — powtórzył teść.

Zamilkli oba.

— Mam kłopot — odezwał się Trinkbier, spuszczając oczy.

— Jeszcze jeden — wtrącił wzgardliwie Kinkel. Może ci się coś urodziło na boku?

— Postanowiłem zmienić wiarę i przyjąć ewangelicką?

— A to dlaczego?

— Naprzód ciągnie mnie ku niej przekonanie, a powtóre trudności służbowe. Katolik musi być zawsze na wylocie lub wrastać w jedno miejsce.

— Należało to uczynić dawniej, bo ciągle czuć cię polakiem; jeżeli zaś zdecydowałeś się dopiero teraz, nie skacz przez płot do innego ogrodu po cichu, według swego zwyczaju, lecz jawnie i głośno, ażeby widziano i słyszano jak najszerzej i jak najwyżej. Wtedy się opłaci.

— Brak mi odwagi.

— Na rozumny krok jej nie masz, a tam, gdzieby wstrzemięźliwość przystała—masz za wiele. Idź dziś do pastora, a ja tę sprawę rozetrę. Tylko słuchaj, uśmierz się, bo żadna religia nie wyżywi tylu dzieci, ile ty ich na świat sprowadzisz.

nie zaznało jeszcze żadnej organizacyi społecznej, że pogrążone jest w bezrządzie zupełnym, bez pojęcia własności, bez ograniczeń obcowania płciowego. Wprawdzie, z powodzi tej misyonarzów i awanturników należałoby wyróżnić ludzi wiedzy ścisłej, co udają się w imię celów naukowych. Jednakże są to albo przyrodnicy (Darwin, Wallace), którym zgoła nie chodzi o pracę w naszym kierunku, lub też zbyt krótko bawią, by mogli zapoznać się należycie z bytem społecznym człowieka dzikiego (Bastian).

Wobec tego wszystkiego nagromadza się obfity wprawdzie, lecz zafałszowany materyał faktyczny, obok trafnych spostrzeżeń szczegółowych zawierający niezmierzoną domieszkę subjektywną człowieka z cywilizacyi europejskiej, pełen sprzeczności i bez planu zbierany. I oto z takiego to właśnie materyału korzystają uczeni europejscy, swe studya socyologiczne prowadzący w czterech ścianach gabinetu, którzy doświadczenie i badanie bezpośrednie zastępują wyciągami z opisów podróży lub, co lepsza, każą to czynić sekretarzom, bez poznajomienia się osobistego z całością źródła, według modły z góry powziętych poglądów — z takiego to materyału, powtarzamy, i w taki a nie inny sposób uczeni europejscy piszą dzieje kultury i historye naturalne rodu ludzkiego, swe socyologie i antropologie. Nie dziw, że wznoszą się okazałe gmachy, gdzie wszystko w drobiazgach nawet wyrachowano i obliczono; lecz cóż — koniec końcem okazuje się? Wszak na podstawie takiej nic trwałego nie zbudujesz, nic, coby odzwierciadlało rzeczywistość. A cóż dopiero gdy socyolog taki napotka na sprzeczności w materyale! Teoryjkę łata teoryjką byleby rozplątać trudności. Czasami znajdzie się umysł bystrzejszy, co z po za oddzielnych szczegółów dojrzy niedostrzegalną dla innych prawdę, przebije powłokę atmosfery europejskiej, rzuci nowe rozwiązanie, lecz wreszcie i on ulegnie z braku niepofałszowanego materyału. Nie ma się czemu dziwić, że takie budowy sztuczne socyologii gabinetowej nie większej są iście trwałości nad domki z kart, że powalić je zdoła pierwszy lepszy powiew silniejszy — który to powiew, rzecz oczywista, nie mógł się zrodzić w Europie, gdyż dla rzetelnego odwzorowania bytu społecznego ludów pierwotnych wypadłoby badaczowi zetknąć się z nimi bezpośrednio, a nie poszukiwać go w książkach, wśród podrobionych opowieści podróżników. Rewolucya wyszła, bo wyjść musiała z po za Europy, z pośród badaczy, którzy jak amerykanin Morgan, w pełnym rynsztunku wykształcenia fachowego, zagrzebali się na miejscu przez całe lat dziesiątki wśród ludu nieucywilizowanego, nie przerywając atoli związków z światem naukowym i pilnie śledząc za postępami wiedzy. Co do naszej części świata, to poszczycić się może zaledwie jednym Maine'm, który czas nieco dłuższy studyował rolną gminę hindusów na miejscu — nikogo pono więcej. Pracę Maine'a, zaczęli prowadzić w Australii Howitt i Fison, w Indyach zaś przedgangesowych różne miejscowe towarzystwa antropologiczne. Niejaki znów Colenso, człowiek co wychował, wyrósł i zestarzał się w Nowej Zelandyi, czyni to dla maorisów, itd. I oto z pod badań tych ukazuje się u ludów pierwotnych zwarty i spójny ustrój społeczny, o którym nie śniło się uczonym gabinetowcom Europy. Zamiast „jednolitego, chaotycznego a niepowiązanego zbiorowiska“ — jak określa społeczeństwa pierwotne Spencer — wychyla swą głowę nader spojone i uporządkowane ukształtowanie społeczne — z tą różnicą, że zasady porządku onego i powiązania na innych spoczywają podstawach, aniżeli w Europie. Wyrosła na obiecującym gruncie studyów bezpośrednich zamorska wiedza socyologiczna Morganów, Howittów, Maine'ów bezlitośnie zwala gabinetowe gadki socyologii europejskiej. Radziłbym wziąć do ręki *Stare społeczeństwo* *) Morgana a wszystkie sześć części wraz z *Wstępem—Socyologii* Spencera, a różnica cała obu tych sposobów pisania, jednego wśród szałasu ludów pierwotnych, na zasadzie długich a bezpośrednich studyów, drugiego znów w londyńskim gabinecie, przy pomocy sekretarza i według z góry powziętych uprzedzeń, odrazu rzuci się już w oczy.

Obecnie do dzieł, pisanych na zasadzie bezpośrednich a długoletnich studyów, przybyła nowa książka, która acz nie dosięga poziomu filozoficznej tkanki prac z socyologii porównawczej, gdyż nosi na sobie cechę monografii, obejmującej tylko jedną nader drobną grupę ludzkości, wszelako, co do zawartego materyału surowego, znaczną posiada wartość. O wartości tej może dać pojęcie choćby ta okoliczność, że autor — polak, J. Kubary — już przed laty dziesięciu zapoznawać się zaczął ze szczepem, o którym opowiada, że zbadał mowę jego, zżył się z jego życiem. Książka napisana na miejscu studyów nosi tytuł „Stosunki społeczne pelauszczyków“ *Die sozialen Einrichtungen der Pelauer* i stanowi dopiero część pierwszą, zresztą zupełnie zakończoną całego szeregu prac, mających zaznajomić nas z bytem wyspiarzy Mikronezyi.

Zanim skreślimy rezultaty pracy Kubarego, winniśmy zwrócić uwagę na punkt jeden. Lubo rodak nasz znajduje się, jak widać z przedmowy do jego dzieła, w stosunkach z naukowym światem antropologów niemieckich, nieznane są mu przecież wyniki prac socyologów zamorskich w języku angielskim (Morgana, Howitta itd.). Zdarza się zatem, że pracę, jaką odbyli wszyscy ci badacze przy wyzwalaniu się od poglądów nauki gabinetowej, musi przedsiębrać i nasz podróżnik. Wskutek tego wiele punktów, zupełnie wyjaśnionych przez Morgana, pozostaje ciemnymi dla p. Kubarego, tak, iż kto zna dzieła amerykanina, a czyta obecnie książkę o ustroju społecznym pelauszczyków, musi zauważyć tę stratę, jaką ponosi ona wskutek tego. Mimo to wszystko, mimo swą niezupełność w punktach jednych, nieznajomość materyału porównawczego w drugich, książka ta służy za nowe potwierdzenie wniosków, wprowadzonych do socyologii przez badaczów zamorskich — z niejakim nowym a pouczającym przydatkiem. Że tak rzecz się ma, posiadamy dowód jaskrawy. Mianowicie, prace nowsze na polu socyologicznem wykazały, że pomiędzy rozmaitemi stronami pożycia społecznego: organizacyą polityczną, kategoryami ekonomicznemi, systemami pojęć religijnych i etycznych zachodzi ścisła zależność form — zupełnie jak w zjawiskach wyrostu (korelacyi) wśród świata zwierzęcego. Co więcej, poczyniono już nader udatne próby uchwycenia tej zależności, tak, iż skoro w swem ręku mamy kilka faktów i zjawisk społecznych, z nich możemy odgadnąć i odwzorować całokształt społeczny — rozumie się w zarysach najogólniejszych. Opierając się na tych poszukiwaniach i wypływających stąd wnioskach, prof. Ziber w dziele swem: *O stosunkach ekonomicznych u ludów pierwotnych*, potrzebując posiadać niesfałszowany materyał, wziął się do oczyszczenia go z domieszek subjektywizmu podróżników — porównywał z sobą opowiadania różnych lub różne punkty opowieści tego samego wędrowca i na zasadzie istnienia jednych

*) Książka ta wkrótce wyjdzie w polskiem tłomaczeniu, nakładem *Prawdy*. *Red.*

I stary, który jeszcze przed trzema laty pomnożył swoje potomstwo a miał go tyle, że córkę tylko pieczywem wspierał, podążył ku domowi.

Wkrótce odbyło się bardzo uroczyste przejście Trinkbiera na łono kościoła protestanckiego wobec niższych i paru wyższych urzędników magistratu. W miejscowej gazetce niemieckiej zapisano ten wypadek z odpowiednią pochwałą i morałem politycznym. Ponieważ zaś nawróconego nazwano szlachcicem polskim, dzienniki polskie wyparły go się aż do najdalszych przodków, twierdząc, że herbarze nasze takiego szlachcica nie znają, bo obejmują rodziny młodsze, Starego Zakonu swym początkiem niesięgające.

Trinkbierowi sprawił ten wywód wielką przykrość, a nawet przez chwilę jak gdyby zawrzała w nim krew Tryńczy. Ochłodził ją strachem, który zatrząsł nim tem silniej, że tegoż dnia ogłoszony został rozkaz wygnania z Prus osób polskiego pochodzenia i obcego poddaństwa.

Nie odrazu, ale rachuba jego sprawdziła się: piąte dziecko przybyło łącznie z wiadomością o nominacyi ojca na referenta. Wolałby on w swej bibliotecze rodzicielskiej nie mieć tego piątego tomu, postawił go jednak obok innych bez gniewu, bo otrzymał w pięknej oprawie. Tylko zostawszy sam wieczorem, po całodziennych wzruszeniach, gdy ogarnął wszystkie wypadki swego życia, gdy roztoczył przed sobą we wspaniałych obrazach rozkosze nowej 800 talarowej pensyi, gdy pomyślał, że oszczędzać musi żonę chorowitą, prawie żałował, że nie poślubił bezdzietnej wdowy.

Nazajutrz o zwykłej godzinie poszedł do biura, gdzie spodziewał się znaleźć urzędowe potwierdzenie radosnej nowiny, o której dotąd wiedział tylko prywatnie. Jakoż zaledwie usiadł przy stoliku i zaczął oddychać uczuciem świeżej godności, poproszono go do prezydenta, za którym kiedyś tak namiętnie głosował i agitował przy wyborze na posła do parlamentu, a który mimo to budził w nim zawsze szczególną bojaźń surowością i dążeniem do nadania składowi urzędniczemu „jednolitości.“ Narodowo-liberałem Trinkbier, jak i jego zwierzchnik, był, ale drżał ciągle, czy go nie „czuć polakiem.“ Prezydent przywitał go wyniośle, ale łaskawie:

— Winszuję panu awansu, który uważam za dawno zasłużony.

— Tem przyjemniejszym on jest dla mnie — rzekł Trinkbier.

— Wprawdzie nominacya pańska jeszcze nie nadeszła, ale jest ona już przez ministra postanowioną. Odbierzesz ją pan wkrótce, musisz tylko zrobić małe wyjaśnienie. Mianowicie w aktach służby występujesz pan dwuosobowo: z początku nazywasz się Tryncza polak, katolik, potem Trinkbier, niemiec, ewangielik. Otóż wytłomacz pan to i uzasadnij piśmiennie pod moim adresem, powoławszy się na odpowiednie dowody, a ja prześlę ministrowi.

Trinkbierowi zaszumiało w uszach, mroczki zaczęły mu biegać przed oczami, milczał.

— Gdzie pan się urodziłeś? — spytał prezydent, biorąc do ręki ołówek.

— W Kaliszu.

— Byłeś poddanym rosyjskim?

— Tak.

— Przybyłeś do Poznania w r. 1864?

— Tak.

— Bez paszportu?

— Byłem wówczas małym chłopcem, nie pamiętam więc, czy ojciec mój posiadał paszport.

Następnie prezydent, notując ciągle, badał go o dalsze koleje, dotyczące przemiany nazwiska i wyznania, zawarcia małżeństwa, przekonań politycznych itd. Trinkbier, znalazłszy się w drugim okresie swego życia, odzyskał swobodnie, mówił śmielej i obszerniej.

— Byłeś pan łaskaw — rzekł zwierzchnik grzecznie — objaśnić mnie tak szcze-

faktów wykazywał bezzasadność innych twierdzeń. Między innemi potrąca też o opowiadania podróżników co do Mikronezyi wogóle, a wysp Pelau w szczególności. Jeśli weźmiemy *Antropologię* Waitza, jedno z krytyczniejszych opracowań surowego materyału, otrzymamy co następuje. Naszkicowawszy w ogólnych zarysach ustawę społeczną mikronezyjczyków, powiada on o pelauszczykach: „Również i na wyspach Pelau, obok *dziedzicznej szlachty*, znajdował się jeszcze *król*, do którego *należały* grunta wszystkie, i po którym dziedziczono *tak samo*, jak niegdyś na wyspach Maryańskich“ (t. j. w linii żeńskiej — tom V, część II, str. 115). Ziber, wychodząc z poszczególnych faktów, o których mówić nie będziemy, w wszystkich podobnych razach sprowadził „króla“ na starszego w rodzie, owo posiadanie wyłączne gruntów przez króla wyjaśnił inaczej, mianowicie, że należały one do rodu całego jako własność zbiorowa, a starszy w rodzie rozporządzał nią jedynie w jego imieniu.

Praca Kubarego dostarcza więc poniekąd kamienia probierczego dla poprawek Zibera, i cóż widzimy? Oto znalazły one aż do szczegółów najdrobniejszych potwierdzenie. Dowiedziono raz jeszcze, ile fałszów i błędów zawiera gabinetowa wiedza socyologiczna, nawet w tak krytycznej już postaci, jak *Antropologia* Waitza; praca naszego rodaka stanowi więc ważny przyczynek w walce owej, jaką prowadzą przeciw nauce gabinetowej zamorskie teorye, na bezpośredniej obserwacyi zbudowane.

Przejdźmy atoli do sprawozdania z rezultatów, jakie przynosi nam książka Kubarego.

(D. c. n.).

MÓZG I DUSZA

podług

Wilhelma Wundta.

Jak w historyi narodów, tak też i w dziejach wiedzy ludzkiej niespodziewane powodzenie przewyższa czasem wszelką śmiałość oczekiwań i pozwala rozgościć się złudnej nadziei. Czas późniejszy chłodzi zapały i sprowadza rozczarowanie. W dziejach psychologii okresem takich młodzieńczych uniesień był wiek XVII. Świetne odkrycia Kopernika w astronomii, Galileusza w mechanice, Harveya w fizyologii upoważniły wielu do przypuszczeń, że i ciało zwierzęcia niczem innem nie jest, jak tylko samodzielnie poruszającą się machiną, której działanie prosta mechanika potrafi wyjaśnić.

Ten kierunek epoki uwydatnił się najwyraźniej i najlepiej w filozofii Kartezyusza. Jego systemat natury wszystko tłomaczył i wyświetlał, nie pozostawiając nigdzie cienia wątpliwości; ale najbardziej dojrzałym płodem całego systematu była jego nauka o stosunku pomiędzy mózgiem i duszą. Nauka ta, która przeżyła wszystkie inne części jego filozofii, streszcza się w kilku wyrazach. Dusza, będąc sama istotą bezprzestrzenną, zajmuje w mózgu pewne siedlisko, gdzie podlega wpływom ciała i oddziaływa na nie z kolei.

Charakter dogmatycznej pewności cechował tę część poglądów Kartezyusza tak jak i wszystkie inne; dziś jednak, kiedy badania mikroskopowe znacznie rozszerzyły zakres odnośnej wiedzy ludzkiej, możemy już z większą ścisłością odpowiedzieć na pytanie: czy i o ile mamy prawo utrzymać się na stanowisku wyżej sformułowanego poglądu.

Odpowiedź poprzedzić trzeba zarysem rozwoju fizyologii mózgu od czasów owej mechanicznej filozofii natury do dni dzisiejszych. W mózgu — podług Descartes'a — jednoczyły się wszystkie nerwy ruchu i czucia. W tych ostatnich ruchy pewnej im właściwej substancyi wywoływały wrażenia, doprowadzając je do t. zw. jam mózgowych, wypełnionych również ową substancyą. Jamy w bezpośrednim znów znajdywały się związku z materyalnem siedliskiem duszy — gruczołem szyszkowym. Takie naczelne stanowisko zapewniało gruczołowi nietylko jego sąsiedztwo z jamami (zbiorniki owej substancyi), ale i ta okoliczność, że był on w mózgu jedynym narządem nieparzystym. Z wrażeń nerwów dusza wyrabiała sobie wyobrażenia, za pośrednictwem zaś woli przesyłała rozkazy nerwom ruchu. Inne czynności duchowe tłomaczyło się w sposób podobny: ruchy nerwów, idących do mózgu od serca, powodowały wzruszenia itd. Gdy w której z tych spraw organizmu nie uczestniczył gruczoł szyszkowy, mieliśmy wówczas ruchy bezwiedne, czyli t. zw. dzisiaj odruchy. Późniejsi materyaliści francuscy mogli więc do pewnego stopnia powoływać się na praojca dzisiejszego spirytualizmu.

Dualistyczna hypoteza Kartezyusza przez cały wiek XVIII była panującą. Nie zwalczyły jej nawet ironiczne wycieczki Kanta. Znakomity uczony niemiecki, Chrystyan Wolff — w psychologii był również wyznawcą owego dualizmu. Od Kartezyusza różnił się on tem tylko, iż, nie uznając takiej jak tamten jedności lub jednolitości duszy, rozczłonkował ją na t. zw. „władze duchowe“ (rozum, żądza itp.). Wpływ Wolffa w fizyologii do dziś dnia prawie uczuwać się daje. Porzuciwszy dawne spory o siedlisku duszy, niektórzy z fizyologów szukają jeszcze obecnie siedliska jej „władz“ rozmaitych; wskazują więc, gdzie ma przebywać wyobraźnia, gdzie rozum itp.

Uzupełnieniem tych poglądów była wynaleziona przez Galla w początkach bieżącego stulecia nauka frenologii, według której — jak wiadomo — zewnętrzne nierówności czaszki miały być odzwierciedleniem wydatnych lub wklęsłych okolic mózgu. W twierdzeniu tem tkwi błąd zasadniczy: rozwój czaszki przynajmniej tyleż wpływa na ukształtowanie się zewnętrzne mózgowia, ile sam wpływowi jego podlega. Żądza zbadania tajemnic naszej istoty duchowej była jednak tak wielką, że nawet filozof tej miary, co August Comte — powierzywszy frenologom przyszłość psychologii, wyznacza w swym panteonie Gallowi miejsce obok Kanta!..

Po okresie błędnych przypuszczeń i rozumowań nastąpiła w nauce epoka badań ściślejszych. We Francyi, w pierwszem i drugiem dziesięcioleciu naszego wieku, na czele tych badań widzimy znakomitego fizyologa i anatoma Flourens'a. Dzięki wiwisekcyom zdołał on dociec, iż podrzędne części mózgowia (móżdżek, rdzeń przedłużony itp.) żadnego udziału w sprawach duchowych nie biorą, kierują zaś tylko czynnościami ciała (oddychanie, ruchy mimowolne itd.), że natomiast „inteligencya i wola“ siedlisko swe mają w półkulach wielkiego mózgu, gdzie poszczególne zdolności nie są bynajmniej umiejscowione w duchu teoryi Galla, lecz równomiernie w masie półkul rozsiane.

Hypoteza Flourensa panowała w nauce do połowy bieżącego stulecia. Wcześnie jednak na poważne natrafiła zarzuty. Zauważono np., iż w pewnych wypadkach choroby, lub uszkodzenia mózgu, chorzy tracili zdolność mowy członkowanej, gdy tymczasem mięśnie, służące do wymawiania wyrazów, pozostawały nieuszkodzonymi. Pacyent wymawiać mógł każdy dźwięk pojedyńczy, ale ani wyrazów układać, ani ich rozumieć nie był w stanie. Z drugiej znów strony badania mikroskopowe rzuciły całkiem niespodziewane światło na wewnętrzną budowę mózgu. Badano uważnie przebieg włókien nerwowych od rdzenia pacierzowego aż do mózgu i znaleziono, że tak włókna ruchu, jak czucia, kończą się w rozmaitych okolicach mózgu, że dalej i nerwy różnych zmysłów szczególnych np. wzroku i słuchu, również w rozmaitych miejscach zakończenia swe mają. Niepodobna więc było przypuścić, żeby wszystkie owe okolice mózgu jednaką rolę w naszej działalności duchowej odgrywały. Ponieważ jednak najprostszymi pierwiastkami naszej umysłowości są wrażenia i wyobrażenia, związane z działalnością takich lub innych nerwów, przeto — twierdzono dalej, jedynie o umiejscowieniu owych wrażeń i wyobrażeń, nie zaś o lokalizacyi „władz“ umysłowych mowa być może; innemi słowy: czynność umysłu w rozmaitych okolicach mózgu musi być rdzennie jednaką, rozmaitemi zaś są tylko wrażenia i wyobrażenia, zapomocą których umysł nasz operuje.

Na korzyść umiejscowienia pewnych czynności oświadczają się badania wielu uczonych. Przed laty dwudziestu, Hitzig w Niemczech i Ferrier w Anglii wykazali, że, drażniąc elektrycznością pewne określone okolice kory mózgowej, wywo-

---

gółowo, że dla uniknięcia, przewłoki sam odpowiem ministrowi i pan nie potrzebujesz pisać osobnego przedstawienia rzeczy.

Ukłonił się.

I wrodzona lękliwość i rzeczywista ważność sprawy dodawały każdemu wyrazowi prezydenta takiej mocy, że Trinkbier wyszedł od niego prawie bezprzytomny. Wobec wydanego niedawno rozkazu przeciwko polakom nie mógł on naturalnie cieszyć się z wywołania widm przeszłości; z drugiej strony znał cenę swoich poświęceń i dowodów wierności, wreszcie prezydent oświadczył, że „dla uniknięcia przewłoki“ sam jego życiorys opisze, więc ma dla niego życzliwość. Ile razy biedakowi zaćmiła się głowa jednem słowem zwierzchnika, natychmiast rozjaśniała się drugiem. W duszy kolejno świeciło mu słońce, zbierały się chmury, przelatywały błyskawice i huczały gromy.

Rozbity i ani wątpień, ani przypuszczeń swych niepewny, zeszedł na dół do biura i wszystkie swe smutki wydobył przed zaufanym kolegą, który go zburczał:

— Nie bądźże trwożliwą babą, która ciągle strachy widzi. Jesteś niemcem, ewangelikiem, zapisanym do ksiąg ludności stałej, naczyłeś się, cóż cię spotkać może?

— Mnie wszystko złe się czepia.

Rozmowa ta ściągnęła do nich drugiego urzędnika, który już raz znacząco wymówił Trinkbierowi obce pochodzenie. Nie wtrącał on się wszakże, tylko gwizdał. Gwizdanie to kłuło strapionego.

— Szkoda — rzekł do przyjaciela — że prezydent nie pozwolił mi samemu napisać wyjaśnienia.

— Ależ on to lepiej zrobi od ciebie. Bądź spokojny, pamięta twoje usługi przy wyborach a jako narodowo-liberał podeprze cię całemi plecami.

W tej chwili niemy świadek zagwizdał tak przeraźliwie, że Trinkbier aż drgnął.

Usiadł przy dawnym swym stoliku i zaczął pracować. Z drugiego pokoju dolcciało go jeszcze kilkakrotnie ciche gwizdnięcie, potem śmiech, który mu się nie podobał, a potem już tylko słychać było skrzypienie posuwanych po papierze piór.

Czasem Trinkbier głęboko odetchnął.

(D. n.).

łujemy stale i niezawodnie ruchy i skurcze pewnych określonych części ciała, np. nóg, rąk, warg, palców itp. Przedtem jeszcze wyniki fizyologii, anatomii i patologii, później zaś badania embryologiczne wnioskom tym dostarczyły poparcia. Nie wynika stąd jednak, że owe okolice mózgu są siedliskiem woli.

Co do umiejscowienia wrażeń zmysłowych, to wnioski badaczów mniejszą odznaczają się zgodnością. I tutaj wszakże drogą doświadczeń fizyologicznych i spostrzeżeń z zakresu patologii zdołano wykazać, iż utrata niektórych narządów (oko) powoduje zanik odpowiedniej części mózgu i że naodwrót: po zniesieniu takiej części, narząd przestaje wykonywać swą czynność. Dla psychologii obojętną jest rzeczą, gdzie mianowicie umiejscowione są np. wrażenia wzroku, słuchu itp.; ważnym zaś pozostaje wniosek ogólny, do jakiego upoważniają wszystkie owe doświadczenia. Okazuje się z nich, że jak nie można odnaleźć w mózgu jakiegoś jednego punktu, któryby zarządzał wszystkiemi częściami ciała, w którym mieściłaby się kontrola wszystkich ruchów i wrażeń, tak też niepodobna przypuścić, że zdolność wykonywania najrozmaitszych czynności jest równomiernie po całym mózgu rozlaną. Przeciwnie: wnosić wolno, że każdemu zmysłowi, każdej grupie mięśni, a nawet mięśniom pojedyńczym odpowiadają w mózgu jakieś ośrodki kierownicze; że dalej — każda czynność złożona jest sumą działania złożonej grupy takich ośrodków, że jednem słowem, podział pracy jest tak dobrze podstawą działania zewnętrznych części naszego ciała, jak i zasadniczym warunkiem działalności mózgowia.

W pozornej z wnioskami tymi sprzeczności pozostają chorobne objawy utraty mowy, związane z utratą niektórych okolic mózgu. Zdawać się tu może, iż okolice takie są jakby siedliskiem jakiejś szczególnej „władzy" naszego ducha. Jeżeli jednak przypomnimy sobie, że zdolność mowy zależną jest od sprawnego działania pewnych mięśni, to zjawisko powyższe do właściwych sprowadzi się granic. Żadna prosta, jednolita „zdolność mowy" nie istnieje, nie ma też ona w mózgu swego wyłącznego organu; natomiast zdolność ta, jako wypadkowa wielu prostszych czynności ustroju, może zniknąć w nas po usunięciu ośrodków, odpowiadających owym czynnościom.

Drugim faktem, przemawiającym jak gdyby na niekorzyść teoryi umiejscowienia, jest powszechnie znane zjawisko powolnego odzyskiwania „władz" i zdolności, pomimo braku odpowiednich, usuniętych z mózgu ośrodków. Fakt ten jednakże dowodzi tylko, iż umiejscowienie nie ma w sobie nic bezwzględnego, a jednocześnie przekonywa ono raz jeszcze, iż czynności złożone są wynikiem zkojarzenia się prostszych procesów, gdyż w takim tylko wypadku możliwem jest owo zastępowanie części nieobecnych przez inne.

Umiejscowienie czynności mózgu równa się, według niektórych, umiejscowieniu wyobrażeń i wrażeń. Pogląd taki grzeszy jednak tem, iż procesom umysłowym przypisuje jakieś istnienie przedmiotowe. Z drugiej wszakże strony zwolennicy tej hypotezy mają słuszność o tyle, o ile przypuszczają, iż wszelki akt woli, wszelkie wyobrażenia oddziaływają na mózg nasz w taki sposób, że czynią umysł skłonniejszym do wznowienia takich samych aktów woli i wyobrażeń. Nie należy tylko przypuszczać, iż czynność komórek mózgu pozostaje w związku przyczynowym z działalnością umysłu, że mianowicie proces mózgowy jest przyczyną, wyobrażenie zaś skutkiem. Taka zależność możliwą byłaby tylko pomiędzy dwoma zjawiskami jednorodnemi, czyli współmiernemi, z których pierwsze mogłoby być równoważnikiem drugiego. Tymczasem o takim stosunku pomiędzy wyobrażeniem i procesem mózgowym — zdaniem Wundta—mowy być nie może, gdyż wszędzie, gdziekolwiek przyczyna cielesna wywołuje skutek duchowy, wszędzie podkopaną jest fizyczna zasada zachowania energii. W zjawiskach fizycznych pewna ilość ciepła np. wywołuje odpowiednią, równoważną ilość ruchu; tutaj zaś oprócz takiegoż skutku fizycznego — fizyczna przyczyna wywołuje nadto jakiś skutek duchowy np. wyobrażenia, tj. skutki nie równoważą już, lecz przeważają przyczynę. Fakt taki przeczy fizycznej zasadzie zachowania energii. Można więc tu mówić tylko o pewnej odpowiedniości zjawisk, o pewnej ich równoległości. Pojedyńcze ogniwa każdego z dwóch powyższych szeregów zjawisk wiążą się ze sobą stosunkiem przyczynowości, ale dlatego właśnie niepodobna mówić o takim samym stosunku pomiędzy ogniwami dwóch różnych szeregów. Niepodobieństwo jest tem większe, iż nawet o istocie fizyologicznych procesów mózgu nic nie wiemy. Można też sądzić o nich tylko przez analogię, porównywając je z czynnością narządów zmysłowych. Procesy np. w ośrodkowym organie wzroku zmieniają się zapewne tak samo, jak obrazy na siatkówce. Zaznaczyć tu trzeba jednak dwie ważne różnice. Naprzód organy zewnętrzne nie cieszą się zastępstwem innych narządów w tej mierze, w jakiej się to spotyka wśród organów wewnętrznych, po usunięciu lub uszkodzeniu jednego z nich. Powtóre ćwiczenie i wprawa posiada dla organów wewnętrznych daleko większe znaczenie, niż dla zewnętrznych — tak, że czynność ośrodków — zrazu możliwa tylko pod działaniem bodźców zewnętrznych — później zjawia się całkiem samoistnie, spontanicznie. Widocznem jest, iż ponownemu ukazaniu się wyobrażenia towarzyszyć musi również i ów proces mózgowy, którego pierwotną przyczyną było wrażenie zewnętrzne.

Tutaj właśnie — podług Wundta — kończyć się musi rola fizyologii, jako tłomacza zjawisk psychologicznych. Wyobrażenia niemożliwemi są bez procesów fizyologicznych mózgu; najbardziej oderwane pojęcie naszego umysłu niemożliwem jest bez wyobrażeń; ale działalność duchowa nie polega jedynie na wyrabianiu wyobrażeń z surowego materyału wrażeń zmysłowych, lecz nadto i głównie na kształtowaniu i kojarzeniu tychże wyobrażeń. Gdybyśmy nawet znali sprawę umiejscowienia wyobrażeń o wiele lepiej, niż w stanie wiedzy obecnym, to i wówczas pozostałoby nierozwiązanem dawne zagadnienie metafizyków: „gdzie jest siedlisko duszy?" Postarajmy się więc tylko zobaczyć, o ile pytanie powyższe wogóle zadawanem być może.

Wundt przypuszcza, iż właśnie w samem pytaniu owem tkwi błąd zasadniczy. Polega on na pomięszaniu ze sobą dwóch różnych punktów widzenia, z których na istotę zjawisk zapatrywać się można. Wszystko, cokolwiek zawiera w sobie nasza świadomość jest wynikiem albo wewnętrznego, albo zewnętrznego doświadczenia. O pierwszem mówi filozoficzna teorya poznawania, o drugiem przyrodoznawstwo. Metafizyk, pragnący rozstrzygnąć pytanie o siedlisku duszy, nie uwzględnia właśnie różnicy pomiędzy tymi dwoma punktami widzenia. O ile, mówiąc o duszy, będziemy mieli na uwadze doświadczenie zewnętrzne, o tyle można będzie myśleć o jakiemś umiejscowieniu. Umiejscowienie to dotyczy wszakże nie spraw duchowych, lecz towarzyszących im pewnych procesów fizyologicznych. Podścieliskiem tych procesów, niezbędnych dla rozwoju naszego ducha, jest cały organizm. Jeżeli jednak z pojęciem duszy łączyć będziemy tylko treść naszej świadomości wewnętrznej, to umiejscowienie jej okaże się niemożliwem. Miejsce jakieś w przestrzeni zajmować mogą tylko procesy fizyczne.

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura czeska.

Wznowienie sporu o autentyczności rękopisów królowodworskiego i zielonogórskiego.

V.

Z licznego szeregu nowych tego autora zarzutów przeciwko mowie rękopisów, podniosę tu jeden, dość zajmujący; dawno już go przedtem sformułowano, lecz dotychczas nie potrafiono obalić. W trzech miejscach obu rękopisów czytamy wyraz *plzny* (w różnych postaciach) w znaczeniu pożyteczny. Jest to oczywisty barbaryzm, który, zdaniem mojem, sam jedenby wystarczył do zdemaskowania fałszu. Oczywiście autorom rękopisów brakło wyrazu na pojęcie *nützlich*, sięgnęli więc do języka rosyjskiego i po krótkim namyśle, przerobili *poleznyj* na *plzny*, mając zapewne w myśli i uchu nazwę miasta czeskiego *Plzeň* (Pilzno), a w sumieniu, na pociechę, starosławiańskie *polьza* (korzyść). Zdawało się im, że jeżeli rosyjskim *polnyj*, *volkъ* odpowiada czeskie *plný*, *vlk*, to i z *poleznyj* będzie czysto czeskie *plzný*. Ale zapomnieli o tem, że *poleznyj* jest słowem złożonem z *po* i wyrazu, który mamy w dawnej polszczyźnie w złożeniu z *nie*: *nielza*, *nieľza* (ros. *nelьzja*); że owo *po* nie traci swego *o* nigdy w czeszczyźnie; że więc, gdyby w staroczeszczyźnie istniał podobny wyraz, toby brzmiał *polzny*, nigdy *plzny*.

P. Opatrny podaje paralele wyrazowe rękopisów z przekładem czeskim poematu łacińskiego o Aleksandrze macedońskim, czyli tak zwaną Alexandreidą. Dużo tu oczywistych zapożyczeń; szczególnie uderzającem jest podobieństwo prawie dosłowne jednego wiersza; brzmi on w Alexandreidzie:

jakžto mhla biese ot prachu,

a w Jarosławie (w. 247):

podvihaje se mhla oto pracha,

z tą tylko różnicą, że w oryginale jest on stosownym, a w Jarosławie niewłaściwym, bo mowa tu jest o „mgle powstałej z kurzawy" zaraz po ogromnej ulewie, sprowadzonej cudem Najświętszej Panny.

W dalszym ciągu dwaj autorowie podają artykuły dziejowo-piśmiennicze, w których dowodzą, że ze stanowiska historyi literatury czeskiej powstanie utworów, w rodzaju rękopisów nas zajmujących, jest bezwarunkowo niemożebnem w wiekach średnich.

P. Kraus opisuje, jako ciekawy przyczynek do sporów obecnych, dzieje podrobionej niemieckiej pieśni nad kolebką, na którą dali się złowić lat temu czterdzieści najlepsi paleografowie i giermaniści, nie wyjmując Jakuba Grimma.

Profesor Jagić nigdy nie wierzył w autentyczność w mowie będących rękopisów; nie tail się z tem, pisał o tem często przy sposobności, wzywając do coraz głębszych studyów nad gramatyką czeską, do ponownego zbadania zabytków pod względem paleograficznym i do spokojnego traktowania sprawy. W tomie V swojego Archiwum (str. 175 i nast.) wskazał *qui pro quo* co do Nowogrodu w Jarosławie (w. 88); w tomie VI (str. 308) pisał o sporze wogóle: „trzeba być cierpliwym, aż nim się nie uspokoją stare namiętności i zanim znajomość starej czeszczyzny nie uczyni większych postępów. Rękopis królowodworski, chociaż napisanie jego przeniość wypadnie z w. XIV do XIX, zajmować będzie zaszczytne, słusznie mu w literaturze należące się miejsce — trzeba to powiedzieć

dla uspokojenia tych, którzy się obawiają z nim rozstać.“

Obecnie, w ostatnim (drugim) zeszycie tomu IX *Archiwum* rozwodzi się obszerniej nad wznowieniem sporów, zatytułowawszy notatkę swoją: „Filologia i patryotyzm.“ Przypomina czasy dawniejsze, kiedy Szafarzyk gromił Miklosicha za niedowiarstwo w rękopis królowodworski, kiedy w niem upatrywano nie już wątpliwości naukowe, ale nieprzyjaźń dla narodu czeskiego. Opowiada pokrótce przebieg kontrowersyi w końcu szóstego dziesiątka lat i tłomaczy, dlaczego zboczenia językowe rękopisów tak mało dawniej raziły uczonych czeskich: oto dlatego, że się wychowali oni w wierze w te rękopisy i na gramatyce staroczeskiej, właśnie na nich zbudowanej. Podnosi dalej zasługi naukowe prof. Gebauera, dodając, iż „niestety, znalazł się w samej Pradze zacięty przeciwnik Gebauera, który po prostu z próżności i nieograniczonej miłości własnej odmawiał i dziś jeszcze odmawia wszelkiego ich uznania“ (mowa oczywiście o M. Hattali). Przeciwnik ten, „któremu nie brak ani ostrego satyryzmu, ani tem mniej grubijaństwa, zdołał dotychczas otulać się płaszczem milczącej powagi i łudzić rodaków swoich obietnicami, których pewno nigdy nie dotrzyma, bo są niewykonalnemi.“ Do załatwienia sporu potrzeba, zdaniem p. Jagić'a, porównawczego zbadania piśmiennictw średniowiecznych; właśnie zapowiada on pracę tego rodzaju, pióra gruntownego znawcy. Zdaje się p. Jagić'owi, iż przewlekłość i chwiejność sporu nastąpiła z winy p. Gebauera, który nie dość stanowcze *veto* położył ze strony filologii, zbyt wiele przyznając znaczenia badaniom paleograficznym i chemicznym; nie powinien był też nazywać „możebnemi zboczeniami gwarowemi“ umyślnie w zabytku nagromadzonych archaizmów i nieumyślnie popełnionych błędów. „Jak jest napisany rękopis królowodworski, tak pisać mógł ten tylko, kto oddawna stracił żywe poczucie mowy, lub go nigdy nie posiadał, kto osobliwszym sposobem stworzył sobie język z książek różnych epok, klecąc go kunsztownie i naśladując.“ „Prof. Masaryk, mówi dalej J., myślał, że dziś już zdoła przeprowadzić spokojną dyskusyę na gruncie czeskim; jeżeli się w tem grubo pomylił, to rozczarowanie bynajmniej jemu ujmy nie czyni;“ pomylił się nieco pierwej i Gaston Paris, mniemając, iż uczeni czescy dorośli już do przedmiotowości należytej. P. Masarykowi oddaje J. słuszne pochwały za ton poważny i umiarkowany, którym rozpoczął i dalej prowadzi rozprawy, oraz za energiczne podniesienie roli języka, jako głównego probierza. Obrońców rękopisu nazywa „dobrymi patryotami, ale lichymi filologami;“ podnosi niektóre nieporuszone w *Athenaeum* zarzuty; żartuje sobie z deklamacyi p. Jul. Grégra i z chwilowej popularności „sławetnego językoznawcy,“ „nad innych bystrego filologa“ (tak Grégr Hattalę nazywa), który „sam jeden dźwiga obecnie na swych barkach brzemię obrony“ i wzywa go, aby czem prędzej otworzył „konia trojańskiego“ swojej odsieczy. Mniema wreszcie, że możebną jest rzeczą, iż wpływ zachwytów Kopitara nad zabytkami innych słowian przyczynił się do rozbudzenia w duszy Hanki marzeń o dostarczeniu własnej ojczyźnie czegoś podobnego.

W chwili, gdy ten list kończę, dochodzą mnie z Pragi wiadomości o dwóch nowych przyczynkach do sporu: są to dwie broszury obrończe panów Czernego, sekretarza muzeum i Planskiego, nauczyciela. Zdam o nich sprawę w przyszłym artykule; nie pominę i zabawnej piosenki, ułożonej z barbaryzmów rękopisu, a wytłoczonej starym drukiem, którą mi przyjaciele moi pragscy nadesłali.

Najsmutniejszem ze wszystkiego jest to, że prof. Masaryk osobiście dotkniętym już został za swe przekonania naukowe. Pisały o tem z wielką skwapliwością dzienniki niemieckie; jak o Ryczywole, zamilczeć o tem wolę... Obyż zstępujący jutro Duch święty oświecić zechciał zapalczywe głowy i serca fanatyków czeskich i oszczędził czechom i nam, ich braciom, wstydu prześladowań za przekonania.

Jan Karłowicz.

LITERATURA ROSYJSKA.

ALEKSANDER OSTROWSKIJ.

Literatura rosyjska dzisiaj dopiero zdobywa sobie w Europie uznanie, kiedy właśnie traci po kolei najznakomitszych swych przedstawicieli. W ciągu lat ostatnich umierają po kolei: Pisiemskij, Niekrasow, Dostojewskij, Turgeniew, Kostomarow, Kawielin, Aksakow, teraz wreszcie Ostrowskij, a wszystko to talenty wybitne, chociaż niejednakowej miary. Pozostali jeszcze: Gonczarow, milczący dobrowolnie od lat wielu, Szczedryn — złożony ciężką, nieuleczalną chorobą i Lew Tołstoj, zatopiony w mistycyzmie, apostoł nowej wiary, stracony również dla literatury. Młodsze pokolenie nie posiada ani jednego talentu, który mógłby z czasem dorównać wielkim poprzednikom. Właściwie umierają nietylko znakomici pisarze, ale — jak słusznie zauważył jeden z krytyków rosyjskich, p. Skabiczewskij — schodzi do grobu cała epoka literacka, trzydziestolecie wspaniałego rozkwitu umysłowego i artystycznego, „złoty wiek“ rosyjskiego piśmiennictwa.

Pomiędzy przedstawicielami tej epoki zmarły w dniu 16-go czerwca Aleksander Ostrowskij zajmował poczesne miejsce, jako twórca sztuki dramatycznej rosyjskiej i mistrz słowa, który pomiędzy swymi nie miał współzawodników, w porównaniu zaś z obcymi uważany być może, jako jeden z najznakomitszych dramaturgów współczesnych.

Ostrowskiemu słusznie należy się tytuł ojca komedyi rosyjskiej, jeżeli bowiem miał poprzedników, np. Grybojedowa i Gogola, to dzieła ich występują jako zjawiska wyjątkowe, które nie tworzą wcale repertuaru teatralnego i nie nadają mu odrębnego charakteru. Sławna komedya Grybojedowa jest dramatyzowaną satyrą społeczną, *Rewizor* i *Żeniť'ba* Gogola więcej już zbliżają się do tego typu dzieł, który rozwinął Ostrowskij, ale właściwie są to jeszcze komedye starego stylu i tylko geniusz autora rozsadza te szablonowe ramki i uwydatnia się w luźnych epizodach i szczegółach. Możnaby powiedzieć, że Gogol był również realistą, jak i Ostrowskij, ale jest to podobieństwo zbyt ogólne, które łączy zresztą wszystkich prawie znakomitych przedstawicieli literatury rosyjskiej. Od pierwszych swych samodzielnych kroków była ona zawsze realistyczną i nie krępowała się przepisami żadnej szkoły. Oryginalność ta wynikała nie z tej przyczyny, że pisarze nie mieli lub nie znali wzorów, bo wielkie talenty zawsze tworzą dla siebie własne formy, ale że nie było wcale tradycyi literackiej, pozwalającej formom tym wyrabiać się według pewnych tylko typów. Realizm więc nie jest bynajmniej zasadniczem znamieniem Gogola i Ostrowskiego, jest on wspólnem tłem, na którem właściwymi sobie rysami wyróżniają się wszystkie talenty pisarskie rosyjskie. Różnicę między Ostrowskim i Gogolem stanowi objektywizm pierwszego i to, kiedy drugi był naturą namiętną, skłonną do krańcowych uprzedzeń w pewnym kierunku. Gogol więc był tak-że przeważnie satyrykiem, kiedy Ostrowskij odtwarza życie społeczeństwa zgodnie z prawdą rzeczywistą, w całej pełni i rozmaitości. Jakkolwiek różnica ta może mówić na korzyść świeżo zmarłego dramaturga, nie znaczy ona wcale, że był on talentem wyższej, lub nawet równej miary— o tem mowy nawet być nie może; świadczy ona tylko o historycznym postępie twórczości pisarskiej. Zresztą sława Gogola opiera się na wielu innych podstawach i utwory dramatyczne stanowią kilka zaledwie listków w wieńcu, który otacza jego głowę.

Ścisły objektywizm nie jest znowu cechą właściwą tylko Ostrowskiemu. Jeden z lepszych krytyków rosyjskich, L. Połonskij, twierdzi, że jest to rys wspólny wszystkim pisarzom pochodzenia wielkorosyjskiego, więcej nawet: wszystkim ludom północnym. Dla rosyanina Zola jest napuszonym frazeologiem, romantykiem takim, jak dla Zoli jest np. Wiktor Hugo. Ale objektywizm Ostrowskiego jest tak dokładnym, tak dobrze wytrzymanym, że nawet w literaturze rosyjskiej rzadko znaleść można podobne przykłady. W utworach jego, jak w zwierciedle, odbija się życie społeczeństwa w chaotycznej rozmaitości jego przejawów, bez najmniejszej zmiany, bez uwzględnienia wymagań tendencyi lub estetyki. Są to po prostu fotograficznie wierne obrazy rzeczywistości, utwory, które nie podchodzą pod żadne określenia, nie można je nazwać ani dramatami, ani komedyami. Dobrolubow ochrzcił je nazwą *sztuki z życia* (pjesy żiżni), wyrażenie pod względem językowym niezręczne, ale dobrze malujące charakter tych utworów. Nie należy jednak sądzić, że oryginalność Ostrowskiego polega na pomieszaniu pierwiastku dramatycznego z komicznym — rzecz to już dawno używana i praktykowana obecnie, szczególniej przez dramaturgów francuskich; zawiera się ona w tym realizmie odtworzenia na scenie stosunków rzeczywistych, do którego wzdychają dotychczas napróżno reformatorowie teatru na Zachodzie.

Tendencya wyraźna nie przebija się nawet w wyborze tematów tj. tych stosunków rzeczywistych, które autor przedstawia na scenie; wysoko tylko rozwinięty zmysł obserwacyi i poczucie artystyczne wskazywały Ostrowskiemu: jakie sfery społeczne i jakie strony życia nadają się najlepiej do odtworzenia na deskach teatru. Z tego względu zapewne zmarły dramaturg nie należał do żadnej partyi literackiej, wszystkie szanowały go i ceniły, ponieważ jednak malował życie narodu zgodnie z prawdą i nigdy nie dał się skłonić do ustępstw na rzecz jakichkolwiek, z góry powziętych przekonań, rzecz naturalna, że zbliżył się do tego kierunku, który prawdy nie taił i na jej szczerem wyznaniu opierał swe zasady, większość więc utworów swoich drukował w *Sowremienniku*, a po zamknięciu jego w *Otieczestwiennych Zapiskach.*

Głównie i to w najlepszych swoich pracach Ostrowskij przedstawiał życie kupiectwa rosyjskiego, przeważnie nawet moskiewskiego, warstwy społecznej zupełnie odrębnej, zamkniętej w sobie, nieprzystępnej dla wpływów zewnętrznych, której pojęcia, obyczaje, zwyczaje rodzinne i towarzyskie dawały bogaty materyał dla komedyopisarza. Na wybór tej sfery wpłynęły bezwątpienia okoliczności osobiste, Ostrowskij bowiem urodził się i wychował w Moskwie i rodzina jego, jakkolwiek wyróżniająca się wykształceniem i stanowiskiem społecznem, posiadała jednak stosunki z kupiectwem moskiewskiem. Dalsze koleje życia ułatwiły mu jeszcze obserwacyę, po wyjściu bowiem z uniwersytetu przez lat 10 urzędnikiem w sądzie handlowym. Pierwszy utwór dramatyczny młodego pisarza *Obraz szczęścia domowego*, drukowany w 1847 r., przeszedł niepostrzeże-

nie; dopiero następny *Swoi — to się pogodzimy* (Swoi liudi soсztiomsia) zwrócił na niego uwagę krytyki, ale w ówczesnych warunkach znokomite to dzieło, w którem talent autora rozwinął się już w pełni, nie mogło być przedstawionem na scenie a nawet zabroniono szczegółowej jego oceny. Dopiero w 1855 r. komedya ta doczekała się wystawienia i pozyskała wielkie powodzenie, Ostrowskij porzucił wtedy urzędowanie i oddał się pracy dla teatru. W ciągu lat trzydziestu od tego pierwszego tryumfu do zgonu napisał on przeszło 50 dzieł i stworzył repertoar teatru narodowego. Dlatego to właśnie należy mu się tytuł ojca komedyi rosyjskiej; utwory bowiem Gogola i Grybojedowa tonęły w powodzi tłomaczonych melodramatów i wodewilów lub fabrykowanych na własną rękę strasznych tragedyj z dziejów ojczystych. Dopiero niezwykła płodność autorska Ostrowskiego pozwoliła teatrom rosyjskim złożyć własny, oryginalny repertoar, tembardziej, że stworzył on szkołę, a właściwie mówiąc, cała późniejsza literatura dramatyczna rosyjska wstąpiła w jego ślady. Według tego wzoru pisane są wszystkie późniejsze komedye, młodzi autorowie trzymają się wiernie typu utworów Ostrowskiego. Jednocześnie powstaje nowa szkoła aktorów i zmienia się zupełnie gust publiczności. Tylko wielki, samodzielny talent dokonać może takiego przewrotu.

W pierwszym okresie swojej działalności Ostrowskij nie wychodzi prawie po za sferę bytu kupiectwa i tworzy wtedy właśnie najlepsze, drgające życiem obrazy. Trudno niezmiernie przytoczyć w polskim języku tytuły tych dzieł, są to bowiem najczęściej wyrażenia przysłowiowe, które dokładnie tłomaczyć się nie dają. We wszystkich maluje on patryarchalne, na wpół barbarzyńskie, straszne nawet w chwilach komicznych życie domowe klasy kupieckiej, którego najwydatniejszą cechą jest okrutny despotyzm rodzinny. Niektóre z tych dzieł, jak np. *Burza* wchodzą już w dziedzinę dramatu. Na podstawie materyałów, jakich dostarczają utwory Ostrowskiego z tego okresu, Dobrolubow oparł swój znakomity publicystyczno-krytyczny artykuł p. t.: *Królestwo ciemności* (Tiomnoje carstwo), w którem kreśli przejmującą grozą charakterystykę tego świata, oddzielonego murem niechęci i przesądów od wszelkich wpływów zewnętrznych, do którego nie dochodzą żadne promienie światła, gdzie w zaduchu i mroku więdną i marnieją zdrowe i świeże kiełki lepszego życia, które trafem jakimś wyrosły na tym bagnistym gruncie. Znakomita pod względem publicystycznym praca Dobrolubowa, który świetnie ugrupował potrzebne mu dane, wyraża trafnie bardzo znaczenie społeczne utworów Ostrowskiego, ale nie daje dokładnego pojęcia o nich, krytyk bowiem tendencyjnie podniósł tylko pewne ich strony. Idzie mi tu o to, że Ostrowskij nie przedstawia nigdy wyłącznie ujemnych lub dodatnich typów, bohaterowie jego mają zawsze pewne słabostki lub nawet śmieszności ludzkie, w najgorszych zaś łotrach, w okrutnych tyranach, w spodlonych szubrawcach odzywają się w pewnych chwilach uczucia lepsze i szlachetniejsze, jak to zresztą zwykle bywa w życiu rzeczywistem, którego utwory te są wierną kopią.

Od 1860 r. zaczął Ostrowskij pisać dramaty historyczne, które, pomimo wielu niezaprzeczonych zalet, nie mają tej wartości, co komedye obyczajowe i — rzecz dziwna — często nie są nawet sceniczne, chociaż pod tym względem zmarły dramaturg celował. W ostatnich wreszcie latach autor pojął, że stosunki społeczne uległy radykalnej przemianie, objął więc w pomysłach swych szersze sfery, przedstawiać zaczął typy najróżnorodniejsze, przeważnie nawet nowej formacyi: aferzystów, zbankrutowanych obywateli, wykształconych fabrykantów, działaczy w ziemstwie itd. Są to jednak wszystko rzeczy słabsze w całości, chociaż niektóre niektóre sceny przypominają mistrzowską rękę. Trudno sądzić, czy przyczyną tego był wiek autora, czy też talent jego nie zdołał ogarnąć tylu różnorodnych motywów, czy wreszcie, co jest najprawdopodobniejsze, jak utrzymuje p. Skabiczewskij, popełnił on błąd w tem, że nowe typy przedstawiał również na tle stosunków rodzinnych, kiedy właściwie mają one znaczenie i odbijają się wyraziście tylko na tle społecznem. Dodać potrzeba, że Ostrowskij był mistrzem języka, którym władał z taką swobodą i znajomością, iż olśniewał bogactwem nowych, oryginalnych słów i wyrażeń. Pod tym względem nie dorównał mu nikt ze współczesnych, w niektórych razach chyba jeden Sałtykow (Szczedryn) może z nim współzawodniczyć. Wybrał on sobie jedną tylko gałęź działalności pisarskiej, ale w tym zakresie stworzył dzieła, które długo świadczyć będą o jego talencie, stworzył odrębny kierunek literacki, własną szkołę, więcej jeszcze — samoistny, narodowy typ sztuki dramatycznej. Dokonał tego siłą własnego talentu, chociaż nie miał żadnych wzorów, a może dlatego właśnie, że ich nie miał.

J. L. P.

LITERATURA FRANCUSKA.

L'Abbé Joseph Lémann. **L'entrée des Israélites dans la société française et les etats chretiens, d'après des documents nouveaux.** Paryż, 1886.

Źródłowa ta praca służyć może za dopełnienie książki Drumonta *La France juive*. Kierunek jej jednak wręcz przeciwny. Autor jest izraelitą z pochodzenia, ktory przyjął następnie chrześcianizm i został księdzem. W dziele swem dowodzi, że lepszy duch judaizmu przeniknął społeczeństwa chrześciańskie i że rozwój ten zakończy się przejściem wyznawców Talmudu na łono kościoła.

Edmond et Jules de Goncourt. **Pages retrouvées.** Paryż, 1886.

W książce tej Edmund Goncourt zebrał swoje i zmarłego już brata swego artykuły, szkice, felietony i nowele, rozrzucone po różnych pismach francuskich od r. 1852. Materyał ten starczył już na zapełnienie dwóch tomów, wydanych poprzednio pod tytułami *La Lorette* i *Voiture de masques*. Wiele ze szkiców, zawartych w obecnym tomie, ma jedynie wartość historyczną, wszystkie jednak te kartki ulotne opracowane są starannie i pisane z artyzmem, właściwym dwum tym apostołom francuskiego naturalizmu. Na wyróżnienie zasługuje doskonałe studyum Edm. Goncourta o Teofilu Gautier.

Jules Case. **La fille à Blanchard.** Paryż, 1886.

Autor należy do grona młodych naturalistów francuskich. Powieść jego obecna jest trzecią z kolei. We wszystkich kobieta i miłość służy mu za wytyczny przedmiot badania i artystycznego odtwarzania. W pierwszej z tych powieści *La petite Zette* przedstawił młode dziewczę, pałające gorącą i szlachetną miłością do człowieka młodego, zepsutego jednak przedwcześnie, lubo nieśmiałego i uganiającego się za nadzwyczajnemi wrażeniami, które go wykolejają i przemieniają wreszcie na płytkiego filistra. W *Une Bourgeoise* widzimy znowu kobietę młodą, piękną, pełną lepszych pragnień i porywów, która wychodzi za mąż za człowieka pospolitego, więzów tych znieść nie może i marnieje. W ostatniej powieści opisuje nam wreszcie kobietę młodą, wieśniaczkę, wydaną w Paryżu za człowieka starszego i nieznanego jej prawie zupełnie. Wkrótce po ślubie porzuca ona swego męża i żyje w ukryciu z pewnym młodym człowiekiem; myśl jednak o tem, że może być odkrytą, prześladuje ją, wyradza się w manię, pod wpływem której zabija małżonka, stojącego jej na przeszkodzie. Odtrącona następnie przez kochanka i zagrożona karą, rzuca się ze skały w morze i tonie. Powieści te pisane są z talentem i drobiazgową spostrzegawczością naturalistów francuskich. Potrącają one, jak widzimy, o odwieczną sprawę stosunków małżeńskich, która dostarcza wciąż najobfitszego, prawie wyłącznego tematu powieściopisarzom francuskim.

Robert Case. **Dans l'intimité.** Paryż, 1886.

Jest to szereg szkiców i obrazków, zebranych na bruku paryskim. Autor zginął przed kilku dniami w pojedynku, wyniklym wskutek błahej polemiki dziennikarskiej. Dwiema poprzedniemi pracami: *L'elève Gendrevin* i *La semaine d'Ursule* zdobył już sobie dość wybitne stanowisko w szeregu obiecujących młodych realistów.

Bibliograficzne te notatki zakończę wzmianką, że największem powodzeniem w zakresie powieściowym w Paryżu cieszy się nowy obecnie tom nowel Guy de Maupassant'a, zatytułowany: *La petite Roque* i *Le Boulet*, powieść młodego pisarza René Maizeroy, który znany był dotychczas z nader drastycznych obrazków, kreślonych jednak bez wielkiego talentu. Ostatnia powieść o wiele więcej zadawalnia pod względem artystycznym. Treścią — jak zwykle — kobieta i stosunki małżeńskie.

P.

TEATR.

Nasi zięciowie. Komedya Kazimierza Zalewskiego.

Zdawkowa krytyka, starająca się wszelki objaw twórczości pisarskiej podciągnąć pod pewne, określone i oklepane formułki, zawyrokowała już, że p. Zalewski w dwóch ostatnich utworach (*Friebe* i *Nasi zięciowie*) stanowczo przerzucił się od komedyi obyczajowej—do tendencyjno-społecznej. Bezwątpienia p. Zalewski jest autorem wybitnie tendencyjnym, jak zresztą musi być nim każdy poważny komedyopisarz, ale okoliczność ta nie nadaje dziełom jego odrębnej formy. W *Naszych zięciach* np., jak również we *Friebem*, nie ma tendencyi ściśle przeprowadzonej, nie ma takiego rozwiązania sytuacyi dramatycznej, któreby było zarazem rozwiązaniem kwestyi społecznej, służącej za osnowę komedyi, z tego powodu zrobiono nawet autorowi zarzut, również, zdaniem naszem, nieuzasadniony, bo oparty właśnie na owem błędnem określeniu rodzaju jego twórczości. P. Zalewski w ostatniej swej komedyi daje nam szereg scen, wiernie aż do drobiazgów odzwierciedlających życie i stosunki pewnej sfery, tendencya przebija się tylko w wyborze tematu, w oświetleniu osób działających, w zdaniach gdzieniegdzie wtrąconych luźnie, ale bynajmniej nie w samym przebiegu akcyi i jej rozwiązaniu. Jeżeli w ostatnich utworach znajdujemy satyrę społeczną szerszego zakroju, nie znaczy to wcale, że autor zmienił rodzaj twórczości, lecz po prostu, że talent jego dojrzał, zakres obserwacyi rozszerzył się, umysł jego głębiej bada stosunki społeczne. P. Z. przedstawia tu z różnych stron życie wyższych warstw mieszczaństwa, arystokra-

cyi kapitału, że zaś przedstawia je zgodnie z prawdą, najlepszy dowód w tem, iż okarżają go ciągle o kopiowanie osób i stosunków istniejących. Obrażone dziwotwory, przejrzawszy się w zwierciedle, które im podsuwa p. Zalewski, gniewają się i krzyczą, że szkło jest w złym gatunku, że wykrzywia im twarze, bo one przecie nie wyglądają tak wstrętnie w rzeczywistości. Zwierciadło tu jednak nie winno; pod jakimkolwiek bowiem kątem ustawia je autor, tj., jakiekolwiek są jego własne przekonania, odbicia twarzy wychodzą nieco może spłaszczone, lub wydłużone karykaturalnie, ale zawsze podobne. Ta fotograficzna niemal dokładność odtworzenia życia pewnych sfer pozwala nam nie brać nawet wcale pod uwagę własnych przekonań autora, w imię których działa jego satyra.

Nie będziemy szczegółowo przytaczali treści komedyi, z tytułu już czytelnik domyśla się, o co rzecz idzie. Autor przedstawia kilka typów teściów - kapitalistów i kupionych zięciów. Jeden z nich hr. Pimbeche, arystokratyczny zdechlaczek, półidiota i utracyusz, w dodatku jeszcze wyniszczony fizycznie. Drugi, Wielohradzki, również syn szlachecki, w którego żyłach płynie krew nietylko karmazynowa, ale nawet niebieska, również birbant i cynik, hulaka i literat, rozumie się, z obozu zachowawców. Dwie te postacie, żywcem wzięte z rzeczywistości, obdarzone wręcz przeciwnymi temperamentami, mają jeden rys wspólny — nikczemność cyniczną, wyrażającą się zresztą rozmaicie: bo kiedy hr. Pimbeche wyzyskuje teścia wesoło, Wielohradzki bije żonę, bije kasyera, który odmawia mu pieniędzy, hałasuje i oburza się na skąpstwo żydowskie. Tylko spokój teścia Stockfindla (Żółkowski), który z zimną krwią odpowiada na jego wykrzyki: „ty już zrobiłeś swoje, ja mam wnuka z nazwiskiem i jesteś mi niepotrzebny," przyprowadza go do równowagi. Faktorką tych mieszanych małżeństw jest niejaka Korbiczowa, która z arystokratycznej kokotki przemienia się na wielkoświatową rajfurkę i opiekunkę „rozczarowanych" żon. Za jej pośrednictwem młody obywatel ziemski Horski zapoznaje się z p. Lolą Limburg, siostrą hrabiny Pimbeche, i pomimo wahań młodzi ludzie pokochali się wreszcie. Kiedy jednak Horski wyznaje swą miłość przyszłemu teściowi, Limburg z uzasadnionem zresztą niedowierzaniem przyjmuje to oświadczenie. Podejrzliwość jego rani boleśnie szlachetnego młodzieńca, zrywa więc upragniony związek, a raczej odkłada go. Z tego zakończenia komedyi zrobiono p. Zalewskiemu zarzut, że nie rozwiązał „kwestyi" i nie wskazał drogi wyjścia szczerze kochającym się parom. Pozwolę sobie być innego zdania i w tem właśnie zakończeniu widzieć dowód talentu autora, który dla zrobienia przyjemności opiekunkom czułych serc i amatorom rozstrzygania „kwestyj społecznych" nie pogwałcił prawdy psychologicznej i życiowej. Człowiek świeży, uczciwy i prosty, jakim autor przedstawia Horskiego, znalazłszy się w takiem otoczeniu i dotknięty bolesnem podejrzeniem, nie mógł nie uczuć wstrętu, nie mógł nie zrozumieć, że zawsze będzie kupionym zięciem. Pomimo tego zresztą poczuł on wyraźnie różnicę pojęć, stosunków, zachowania się ludzi, z którymi żyćby musiał. Oprócz zerwania, innego środka wyjścia z położenia tego nie było, może z biegiem czasu namyśli się, może wróci i zostanie zięciem bankierskim i zarazem człowiekiem porządnym, jak ów „pierwszy zięć," który raz tylko zjawia się na scenie, widocznie dla zaznaczenia innego jeszcze typu, człowieka, który ożenił się z bankierówną w imię „zasady," mniejsza o to jakiej i pozostał uczciwym i porządnym gentlemanem. Nakreślenie tego ostatniego, pełnego fałszu, podejrzliwości, brutalnego cynizmu, rozpusty, z którego wyrywa się gwałtownie Horski, bo inaczej zadusiłby się w tej atmosferze zepsutej — oto główna zaleta komedyi. Arystokracya kapitału ma w p. Zalewskim wybornego malarza, który przedstawia ją z dokładną wiernością w ogólnym zarysie, chociaż może karykaturalnie w szczegółach. Autor nie powoduje się żadnem uprzedzeniem a przynajmniej nie popuszcza mu cugli i nie pozwala krzywić prawdy: teściowie-izraelici np. wychodzą pomimo wad i śmieszności swoich daleko sympatyczniej, aniżeli drogo nabyci zięciowie - chrześcianie. Dla Stockfindla, który ma dwie córki na wydaniu, zięcia, który mu grozi pobiciem i katar żołądka, można czuć pewne współczucie, dla Wielohradzkiego — tylko pogardę.

P. Zalewski z temperamentu jest publicystą, ale w wykonaniu pomysłów posiada zmysł artystyczny, który nieraz szczęśliwie podsuwa mu właściwe i realne sposoby ich oddania. W ostatnich komedyach swoich bierze on tylko pewną, dosyć ciasną sferę życia, przedstawia ją jednak w całej pełni, nie pomijając szczegółów, ale i nie przeładowując nimi obrazu. Nietylko maluje on prawdziwie rzeczywistość, śmiało także mówi prawdę, bez względu, czy to komu podoba się, czy nie. Dla komedyopisarza jest to cenny przymiot.

Komedya p. Zalewskiego posiada liczne wady, których wszakże nie będziemy tu wyliczali, gdyż w ocenie utworu, będącego uscenizowanym artykułem społecznym, więcej chodzi o myśl, niż o jej artystyczne wykończenie. Dodać trzeba, że w przedstawieniu *Naszych zięciów* wzięły udział najlepsze siły artystyczne. Pp. Żółkowski i Ostrowski jako teściowie, Tatarkiewicz i Kotarbiński w rolach zięciów; panie: Ludowa, Czaki, Ładnowska, Chraszczewska i wreszcie wszyscy inni odegrali całość znakomicie. Taka staranna obsada podnosi jeszcze wartość utworu na scenie.

W. W.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Złość klimatu. — Nasze uciechy i przyszłe o nich rozmowy. — Regestr czynów obywatelskich. — Wystawa inwentarza. — Chłodne z nią rozstanie. — Nasze zakłady kąpielowe. — Pora dla wygrania korzyści. — Wielkie kapitały. — Brak ludzi. — Skarga p. Celsa Lewickiego. — Gwiazdozbiór naszej prasy. — Głosy publiczne.

Gdybyśmy posiadali fantazyę nieboszczyka króla bawarskiego, moglibyśmy pocieszać się, że natura doznaje dreszczów a niebo płacze nad nami ze współczucia; ponieważ jednak trudno się łudzić przy tylu otrzeźwieniach, musimy naodwrót przyznać, że klimat, lichy nasz klimat bezwiednie sprzymierzył się przeciwko nam z innymi świadomymi czynnikami. Takim czerwcem, deszczowym i chłodnym warto przeklinać złych ludzi, ale nie warto mu poświęcić kulawego rymu. Wobec różnorodnych utrapień byle czem karmimy nasze serce, głodne pomyślnych wrażeń. Wyważeni na czas pewien z warunków, które uczą nas klaskać w dłonie tam, gdzie inni wzruszają obojętnie ramionami, sprowadzeni z żyznych i błogosławionych niw na ten grunt jałowy i zapuszczony, zdumielibyśmy się nieraz nad powodami naszej głębokiej radości. Maluczko a będziemy prowadzili takie rozmowy:

— Jesteś pan dziś szczególnie wesół.

— Bo mój sąsiad, z którym toczyłem długi proces, wygrał sprawę w ostatniej instancyi.

— Coś pana widocznie uszczęśliwiło.

— Kupiec, który mnie okpił na zbożu, sprzedał je zyskownie za granicą.

Zobaczywszy rolnika, orzącego pole ludźmi, zaprzężonymi do pługa, będziemy wtedy wykrzykiwali:

— Szlachetny dobroczyńca dał jednej parze ludzkiej uczciwy i pożądany zarobek.

W przybliżeniu robimy to już dziś, wcale nie dostrzegając naiwności naszych przyjemnych wzruszeń, zaciera ją bowiem uczucie widzenia czegoś, co się rodzi bez wielkich pazurów, kłów i rogów, co ma przynajmniej pozory dobra ogólnego. Chwaliliśmy wyprawę do Afryki — to jeszcze nic, będziemy może wykazywali obywatelską zasługę tych, którzy wygrają znaczne sumy na saskiej loteryi lub pożyczce premiowej. Wszakże np. dzienniki społeczeństw cywilizowanych nigdy nie donoszą z zachwytem (chyba w ogłoszeniach płatnych), że ktoś założył nową fabrykę lub otworzył restauracyę; my podnosimy uroczyście te fakty i spożywamy je w sosie patryotycznym. Kapitalista, pragnąc puścić swe zasoby w ruch dobrze procentujący i wyzyskać pracę sił najemnych oraz potrzeby rynku, zaczyna wyrabiać grzebienie lub igły; nie myśli on przytem ani o „podźwignięciu przemysłu krajowego," ani o „wyzwoleniu go z poddaństwa zagranicy," ani o „daniu zajęcia rękom próżnującym," lecz dba przedewszystkiem o własną kieszeń. My wszakże, stęsknieni do objawów dodatnich, wystawiamy mu zbiorowy adres dziękczynny z godłem: „więc żyjemy." Jest to dziwacznem, ale psychologicznie usprawiedliwionem. Albożto nie spotykamy ludzi, którzy dostawszy grosz tańczą z radości lub wznoszą modły ku niebu!

Wszędzie wystawa inwentarza jest wystawą inwentarza. My biedacy, którzy z Towarzystwa Dobroczynności chcieliśmy kiedyś zrobić Panteon a z Towarzystwa Kredytowego Akademię geologiczną, budowaliśmy na placu Ujazdowskim gmachy fantastycznych rojeń, które naturalnie się rozwiały. Dopóki wszakże z tej ruiny wisiały w powietrzu obłoczne słupy i tęczowe wiązania, uczęszczaliśmy tłumnie na „ekspozycyę," zwłaszcza gdy dostarczała nam w letnim karnawale świeżej rozrywki, o którą rzetelny słowianin tak dba, że bez niej wyrzekłby się nieba. Przekonawszy się, że wystawa inwentarza, pomimo złączonych z nią narad ziemiańskich u p. Trylskiego, jest tylko wystawą inwentarza, że znawcy może w niej każdego roku widzą coś nowego, ale publiczność podziwia tylko szereg ogonów końskich, bydlęcych, owczych itd. — ochłonęliśmy znacznie. Tegoroczna była już zwiedzana tak słabo, że gdy komitet pożegnał ją ze wzruszeniem jako ostatnią według urzędowego pozwolenia, w prasie nie odbiło się echo smutku. Przestała bowiem być instytucyą ogólną, a zaczęła być—jak powinna—czysto ziemiańską.

W sądzeniu zjawisk ekonomicznych niepodobna wciągać do rachunku przemiennych gustów, chęci okazania przy nich zbytkownych toalet lub złapania męża; zdaje mi się jednak, że nawet dla rolników coroczne wystawy, które w krótkich okresach czasu nie mogą uwydatnić poważniejszych postępów pracy, są za częste. Widzieliśmy to w udzielonych nagrodach i odznaczeniach. W końcu już niemal musiano bić medale dla tych, którzy rano wstają lub owiec nie wypędzają na trawę w zimie. Istotnych zasług lub znakomitych rezultatów doświadczalnych brakło, podnoszono więc w górę byle przymiot gospodarczy. Metoda zamiast podwyższać zniżała poziom wymagań, nie dawała dobrego przykładu ani „obywatelom," ani chłopom, którzy zapewne odjechali z przekonaniem, że gdyby wykręcili z wierzbiny

długie fujarki, byliby otrzymali po złotym medalu.

Ziemia procentuje źle, kamienice — źle, handel — źle, przerażony lub zniechęcony kapitał skupił się w bankach lub wlazł w papiery publiczne i płacze, że nie ma pola do bezpiecznych i zyskownych obrotów. A tymczasem obca ręka gdzie zawadzi rydlem, wszędzie odnajduje bogatą żyłę. Nie jest to raj, nie jest to nawet stan znośnej sprawiedliwości, ale jest to uwarunkowanie konieczne, któremu poddać się trzeba a w którem pewne zadania podjąć i należycie spełnić może tylko kapitał wielki. Nasze zakłady kuracyjne, usiłujące z żołędzi wyhodować szybko wielkie dęby, nie rozumieją tej żelaznej logiki rzeczy i dlatego brudem, niewygodami, drożyzną, brakiem niezbędnych środków odstraszają chorych. Rok obecny, w którym z pruskiego zła zaczęło wyrastać polskie dobro, był najwłaściwszą i decydującą porą do reformy w tej dziedzinie. Skutkiem ogólnej biedy i nawoływań prasy, odstręczających ogół od wód niemieckich, krajowe zaroiły się gęsto gośćmi. Krótkotrwała to jednak pociecha, gdyż ta sama prasa brzmi dawnemi skargami na kuracyę patryotyczną. Winien zaś nierząd, nieumiejętność, zdzierstwo? Potrosze, ale przedewszystkiem winna niemoc pieniężna, która nie pozwala owym zakładom zaprowadzić ulepszeń i przywiązać do siebie chorych. Obfitym strumieniem trysnęła woda na krajowe koła, obracają się one i mielą, ale młynarze nie myślą o wyszlamowaniu i ujęciu w trwałe łożysko potoku, który wkrótce rozleje się na wszystkie strony! Prawie nigdzie bowiem nie dostrzegamy przy tej robocie wielkich kapitałów, jedynie mogących ją spełnić z zadowoleniem stron obu; wszędzie uwijają się drobne mrówki, których tryumf byłby dla nas najbardziej pożądanym, ale które, niestety, upadają pod ciężarem, przewyższającym ich siły. Obym był fałszywym prorokiem, ponieważ jednak znam naszą krótką pamięć, lekceważenie swojszczyzny i chęć wyfruwania jak najdalej po za rodzinne gniazdo, a nie przypuszam, żeby wyszło drugie wydanie edyktu pruskiego, sądzę, że letnie jaskółki w roku następnym odlecą z kraju pod dachy niemieckie a miejscowe zakłady kuracyjne znowu pozostaną puste.

Długi szereg doświadczeń i spostrzeżeń szepcze mi w tej chwili do ucha, że na tem jak na każdem polu, brak nam nietylko kapitałów, ale także — ludzi. Zdawałoby się, że los tego przynajmniej nam nie poskąpił, owszem, że na zmarnowanie skazał liczne zastępy sił zdolnych. A jednakże kogokolwiek zagadniesz, kto kieruje pracą zbiorową, każdy z doświadczenia wyciągnął naukę, że jego okręt rozbijał się nie o skały podwodne, nie o dzioby naprzeciw płynących statków, nie w wichrach burzy, ale przez nieudolność lub niesumienność majtków. Powtarza to zarówno przedsiębiorca kolejowy, jak fabrykant, kupiec lub wydawca. Dotąd pracownik zdolny i uczciwy ma u nas wagę złota; jego głowa, jego ręce nigdy nie próżnują, bo zawsze je dobrze sprzeda.

P. Cels Lewicki wydrukował list otwarty do redaktorów warszawskich z wezwaniem, ażeby nie lekceważyli głosów publiczności i otwierali im szerzej swe kolumny. Autor ma w zasadzie słuszność, gdyż prasa nasza zbyt oddaliła się od potrzeb społeczeństwa i dogadza jedynie potrzebom literatów, dla nich zakłada nowe przybytki, z ich uczuć, myśli, żądań, sympatyj i antypatyj tworzy sztuczną atmosferę, którą oddycha ogół. Zwykle dwu lub trzech dziennikarzów, niezwiązanych ściśle z żadną literacką konstelacyą, błąkających się bez stałych dróg, składa nową, nie pytając komu i czem ma świecić. Niebo też naszej prasy jest gwiaździste, ale żyjącym na padole nie jest przez to jaśniej. Tymczasem, gdyby szukano domów i chat ciemnych, gdyby w nich zapalono ognie, któreby ludziom dawały światło i ciepło — słowem, gdyby zbadano potrzeby ogółu i czyniono im zadość — mielibyśmy w prasie mniej zdawkowego konwencyonalizmu i sztucznego powietrza, mniej stereotypowych odbić, a więcej prawdziwych wyrazów opinii. Opinia ta często się odzywa w listach do redakcyj, lecz zwykle, albo tworząc rozdźwięk z tonem wybranego organu, idzie do kosza, albo przybywa w takiej niedojrzałej lub kalekiej formie, że pod czcionki drukarskie się nie nadaje. Ogół nasz naśladuje większość literatów — pisze niedbale a zastrzega nietykalność dla swego pióra. Co wtedy pozostaje redakcyi chcącej, ażeby do zamulonej literatury, po której pływają różne odpadki wszechgwary ludzkiej i męty niechlujstwa, nie zanieczyszczać jeszcze bardziej? Opuścić stawidło i zatrzymać niem wióry, w których tkwi nieraz włókno rozsądku i szlachetnego uczucia, ale które wprzód starannie wypłukać i okroić trzeba.

Mój sąsiad ma jeszcze inne w tej sprawie zarzuty, które poniżej stawia.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Głos publiczności.— Skurczony perkal rozszerza się.— Chedery w Radomiu. — Dlaczego nas gryzą. — Eldorado złodziejskie. — Ukrywany skandal.

Niema chyba pisma, któreby nie życzyło sobie ścisłej łączności między redakcyą i czytelnikami i nie czyniło w tym względzie pewnych usiłowań. Słyszeliśmy niejednokrotnie utyskiwania na brak korespondencyj, prośby o nadsyłanie uwag i wiadomości, widzieliśmy nawet oddzielne rubryki dla „głosów z publiczności“, wszystkie te zachęty pozostały jednak bezskutecznemi. Któż by więc mógł przypuścić, że z pośród publiczności wyjdzie żądanie dopuszczenia jej do głosu i to nietylko w sprawach wyjątkowych, ale na zasadzie stałego współpracownictwa. Właściwie wiedzieć trudno, czy pragnie tego jakiś znaczniejszy zastęp czytelników, bo nie spotykaliśmy się z podobnemi życzeniami, ale tak nas zapewnia p. Cels Lewicki, który w imieniu ogółu abonentów ogłosił: „List otwarty do redakcyj wszystkich pism treści ogólnej.“ P. Lewicki żąda ni mniej ni więcej, tylko stałego współpracownictwa czytelników w piśmie, które zmuszone byłoby zamieszczać wszelkie „głosy,“ „słówka,“ „jeszcze słówka,“ „kilka myśli“ itp. wynurzenia amatorów pisania i przemawiania do narodu. Przy takiem prowadzeniu dziennika zniknęłby zupełnie jednolity kierunek, co zresztą nie stanowi ważnej sprawy, ponieważ większość pism naszych nie posiada go wcale, i wytworzyła by się mieszanina dziwacznych poglądów. Dziennik przestałby być organem informacyjnym i stał się po prostu skrzynką do listów, których w dodatku nikt by nie chciał czytać. Każdy bowiem z prenumeratorów rozpraw iałby o rzeczach, które mu najbardziej leżą na sercu, ale ogółu mogą nie obchodzić zgoła. Każda redakcya chętnie wita współpracownictwo przygodne i pomieszcza nieraz z zastrzeżeniem zdanie, na które w szczegółach nie zgadza się, jeżeli zdanie to ma jaką wartość i liczy się z warunkami istnienia prasy, o których amatorowie pisania zwykle słyszeć nie chcą, chociaż dla pisma jest to rzecz nie małej wagi. Jedne rzeczy zajmują cały ogół ludzi inteligentnych, inne ciekawemi są tylko dla ludzi pewnych zajęć, lub mieszkańców pewnego okręgu, prowincyi itd. Zdarza się nam nieraz otrzymać artykuł w sprawie specyalnej, któremu możnaby przy zachowaniu pewnych warunków udzielić gościnności w łamach pisma, ale cóż zwykle sprawa ta traktowaną jest tak obszernie, że wykład jej zająłby kilka numerów dziennika, tymczasem obchodzi ona bardzo nieliczne grono czytelników. Ze względów wydawniczych dopuszczenie takiego współpracownictwa amatorskiego było by nawet korzystnem i temi pobudkami kierują się zapewne owe pisma, które p. Lewicki chwali, pomieszczające korespondencye z różnych miejsc o rzeczach błahych, które gdyby nawet zadawalniały ciekawość czytelnika, to nie przyniosą mu żadnego pożytku.

Przykład dzienników amerykańskich nie jest dobrany trafnie, widocznie p. Lewicki nie zna ich wcale, chociaż na ich przykładzie opiera swe wnioski. Pisma amerykańskie korzystają rzeczywiście z współudziału czytelników bardzo obficie, ale tylko w zakresie podawania informacyj i dostarczania wiadomości faktycznych. Takich korespondentów każda redakcya przyjmie z otwartemi rękami, jak upragnionych gości, bo każda, oczekując ich naprożno, wypatrzyła oczy. Ale p. Lewickiemu nie o to idzie, chce on zabierać głos w różnych sprawach, wypowiadać zdanie, rozwijać swe poglądy. To już rzecz inna, chociaż i takie współpracownictwo jest możliwem, jeżeli poglądy posiadać będą jakąś wartość i liczyć się z warunkami literackimi.

Dotychczas brak nam korespondentów prawdziwych, mamy za to pełną miarę z czubem domorosłych filozofów, snujących w zaciszu wiejskiem dziwaczne marzenia lub brednie, apostołów, których w godzinie poobiedniej drzemki lub w nocy bezsennej „nawiedziło“ objawienie jakiejś szczególnej prawdy. Ci właśnie najczęściej zasilają redakcye swemi wypracowaniami, są to „grafomani“ z natury, typ, który bardzo często, zwłaszcza u nas, spotkać można, i oni to właśnie najgoręcej domagają się drukowania swych utworów. Ludzie rozumni, którym idzie o rzecz nie zaś o zadowolenie próżności lub popędu pisarskiego — nie stawią takich żądań, przesyłają oni czasem uwagi swoje redakcyom, dostarczają materyału, ale poprzestają na tem, pozwalając korzystać dowolnie ze swych wskazówek. Takie współpracownictwo jest bardzo cennem, ale, niestety, bardziej jeszcze rzadkiem. Ci zaś, którzy posiadają odpowiednie warunki do pracy literackiej mogą być zawsze i są współpracownikami pism, bo to przecie nie zależy od miejsca zamieszkania.

W szeregu wielkich reform dziennikarskich, na które p. Prus z p. Kronenbergiem wydali, jak utrzymuje pierwszy z nich, w ciągu roku 40,000 rs., była właśnie rubryka „głosów publiczności“ w ś.p. *Nowinach*, w której jednak nikt głosu nie zabierał. „Pomimo to,“ dodaje Prus, nietylko niecieszyliśmy się *poparciem ogółu*, jak to dziś tak stanowczo obiecuje p. Lewicki, ale zdaje mi się, że na liście prenumeratorów nie posiadaliśmy nawet... p. Celsa Lewickiego.“

Pokrewny przedmiot porusza wydawca *Dziennika łódzkiego*, który skarży się, że prasa zbyt mało zajmuje się prowincyą i dziennikami miejscowymi, z których czerpie tylko wiadomości bieżące, pomijając rozbiór ważniejszych spraw. Że prasa warszawska za mało zajmuje się prowincyę — to święta prawda, ale nie dla tego wcale, iż nie zamieszcza ocen artykułów dzienników prowincyonalnych i nie traktuje szeroko spraw miejscowych. Bo comogą obchodzić czytelników z Wołynia, Litwy a nawet Suwałk, Lublina lub Kielc — sprawy wyłącznie łódzkie? Żle jest właśnie dlatego, że sprawy czysto-warszawskie przemagają nad ogólno-krajowemi i dla wylecznia z tej wady *Dziennik* pragnie, żeby w pismach przeznaczo-

nych dla wszystkich mieszkańców kraju przeważały sprawy łódzkie, radomskie, płockie itd. Najciekawszem jest wszakże, że uwagi te wypowiedziane są z powodu owego głośnego „kurczenia się“ szajblerowskiego perkalu. Chcąc zapewne wynagrodzić brak $1\frac{1}{2}$ werszka szerokości, rozciągnął się teraz ów perkal aż w kilku numerach dziennika. Czy i tę sprawę pisma warszawskie powinny należycie uwzględnić i poświęcić jej szereg artykułów?

Co innego np. chedery w Radomiu; sprawa ta oprócz miejscowego charakteru posiada ogólne znaczenie, warunki bowiem wychowania ludności żydowskiej w całym kraju są mniej więcej jednakowe i zbadanie ich na pewnej ograniczonej przestrzeni daje dokładne pojęcie o całości. Chedery są to szkoły wyznaniowe prywatne, utrzymywane przez t. z. melamedów, uczęszczają do nich dzieci rozmaitego wieku, przeważnie od lat 7 do 13, chociaż są i takie szkółki, w których uczą się dzieci młodsze, nieraz nawet 3 letnie i tego rodzaju chederów jest w Radomiu aż 10 z ogólnej liczby 44. W szkołach tych pobiera naukę 568 dzieci, których rodzice płacą za to rocznie 10,612 rs., oprócz tego niektóre chedery otrzymują zasiłki od miejscowej inteligencyi (?). W 25 chederach dzieci od lat 6 do 12 uczą się po hebrajsku 8 godzin dziennie a siedzą po godzin 11, w kilku zaś tylko po $5\frac{1}{2}$ godzin. Szkoła mieści się zwykle w mieszkaniu prywatnem melameda w jaknajgorszych warunkach sanitarnych. W tym zaduchu w ciągu 10 godzin dziennie ogłupiają się dzieci żydowskie uczeniem na pamięć modlitw lub wyjątków z Talmudu w języku niezrozumiałym dla nich, nauka zaś odbywa się przy pomocy takich środków pedagogicznych (według własnych zeznań melamedów) jak: bicie po twarzy, „bicie ręką w część ciała, znajdującą się najbliżej nauczyciela“ (?), chłosta dyscypliną, areszt itd. W czterech tylko chederach uczą trochę po rosyjsku, po polsku zaś w żadnym, chociaż na naukę tego języka „położonym jest nacisk nawet w rozporządzeniach rządowych,“ jak dodaje *Gazeta radomska*. Większość melamedów nie zna wcale języka krajowego. Czy i tym udziela wsparcia „inteligencya izraelska?“

W Pabianicach fabrykant E. (pisma nasze przez grzeczność nie wymieniają jego nazwiska) zniżył robotnikom płacę o 50 kopiejek tygodniowo i zapowiedział, że jeżeli się nie zgodzą, to on sprowadzi niemców. Ponieważ robotnicy nie mają pojęcia o polityce, ani tysiącoletnich węzłach, jakie nas łączą z Zachodem, ani o wymaganiach grzeczności międzynarodowej, oświadczyli więc, że do pracy nie pójdą. Bezrobocie trwało dni kilka i przybrało groźny charakter, dopiero wdanie się p. naczelnika powiatu złagodziło prawdopodobne starcie. Wysłuchawszy żądań robotników, uznał on ich słuszność i wpłynął na fabrykanta, że redukcya płacy zmniejszoną będzie o połowę. Oprócz tego p. naczelnik polecił robotnikom, żeby w razie nadużyć ze strony przedsiębiorcy, lub zmuszania ich do pracy w dnie świąteczne, co dotychczas miało miejsce, zawiadamiali go o tem natychmiast. W danym razie dobrze się stało, że znalazł się „strach,“ którego niemcy choć trochę się boją, ale czy strach ten może i powinien stać zawsze na straży.

W Kraśniku, w gub. lubelskiej istnieje prawdziwe Eldorado złodziejskie. Teraz dopiero ciekawe oko władzy sądowej zajrzało do tego raju i odkryło cudowne rzeczy. Kradzione przedmioty przechowywały się w ogrodzie, należącym do jednego z hersztów bandy, pierścionki, kolczyki i inne kosztowności wisiały na drzewach, niby owoce, inne rzeczy ukrywane były w podobny sposób. Złodzieje posiadali taką powagę w mieście, że podczas wesela np. u któregokolwiek z zamożniejszych obywateli zapraszano ich jako gości. Była to pewnego rodzaju asekuracya. Podczas uczty złodziej wydobywa z kieszeni nóż, w którym gospodarz poznaje swoją własność, skradzioną mu wraz ze znaczną sumą pieniędzy przed paru laty, nie śmie jednak powiedzieć o tem gościowi, z obawy, żeby się nie obraził i nie „skarał“ go. Ładny obrazek obyczajowy — ani słowa!

Zaznaczyłem powyżej, że większą część wiadomości o sprawach prowincyonalnych czerpie prasa warszawska z gazet miejscowych, okazuje się jednak, że nawet o niektórych sprawach warszawskich można znaleźć informacye tylko w dziennikach prowincyonalnych. Oto np. *Dziennik łódzki* a zanim inne pisma donoszą o skandalicznej sprawie, którą sąd warszawski pozpatrywał jeszcze w dniu 4 czerwca, a o której dzienniki warszawskie milczą, bo niektóre w skazanym za kradzież straciły współpracownika. A my im tego nie wymawiamy, że „liczba ich przyjaciół się zmniejsza.“

J. Nieborski.

PRASA ROSYJSKA.

Moskowskija Wiedomosti podają bardzo ciekawe wiadomości o położeniu prawosławia w guberniach lubelskiej i siedleckiej, które w wyjątkach, według *Gaz. warszawskiej* przytaczamy:

„Wydarzenia zaszłe kilka miesięcy temu w Lublinie obudziły czynność sfer zainteresowanych, które teraz mają otwarte oczy na to, co się dzieje. Naprożno niektórzy usiłują wmówić, że wydarzenia te były wywołane przez gawiedź, niezdającą sobie sprawy z położenia i z nudów tylko czepiającą się lada sposobności, byle sobie szarą jednostajność urozmaicić. Tak nie jest. W obu guberniach odbywa się, przy ciągłym współudziale i zabiegach ze strony jezuitów i panów, proces fermentacyi, której ustawiczne objawy dają się dokładnie obserwować. Skoro tylko w Chełmie i Białej odbył się akt przywrócenia unitów do jedności z prawosławiem, wnet rozpoczęło się po kraju włóczęgowstwo różnych *patrów*, przy pomocy miejscowych księży i panów. Ich to usiłowaniom zawdzięczać należy wytworzenie typu „opornych,“ którzy nie chodzą do cerkwi prawosławnej i o jej obrzędach słyszeć nie chcą.

W roku 1878 w Łukowie urządził sklepik pruski poddany Otto Hausner, i niby to kupczył, rozsyłał z towarem swoich agentów po dworach na Podlasiu. I cóż się okazało? Ci agenci to właśnie owi „oporni,“ ktorzy chodzą po kraju a propagują katolicyzm, sam zaś Hausner tak się nie nazywa i na pozór tylko handlem się trudni. Jest to ni mniej ni więcej tylko ojciec von Nostitz-Jackowski, prowincyał zakonu jezuickiego w Galicyi, i trudni się nawracaniem unitów, odprawia im nabożeństwa katolickie, zaopatruje w dokumenta ślubne i w metryki katolickie każdego, kto sobie tego życzy. Pewnego razu, na zjeździe w Radzyniu, dokąd przybył i „prewielebnyj jezuit *pan* Jackowskij,“ pojmali go żandarmi. Liczni jego zwolennicy rzucili się, aby go odbić, ale nie zdołali tego dokonać, i pan Jackowski znalazł się niebawem w więzieniu w Siedlcach. Ale i tam żył sobie wesoło, bo dosyłali mu wszystkiego aż nadto hrabia Łubieński i inni bogaci panowie z gubernij siedleckiej i lubelskiej. W dodatku więzienie to stało się istną szkołą, z której wyszedł później cały szereg agitatorów. Byli nawet tacy, którzy broili umyślnie, aby dostać się do więzienia, i tam zetknąwszy się z Jackowskim, odbierali od niego instrukcye: co dalej czynić, jak prowadzić rozpoczęte dzieło, w przekonaniu, że wkrótce będą wypuszczeni na wolność, i tym sposobem z nową aureolą męczeństwa „za ojczyznę i świętą sprawę“ tem skuteczniej agitować będą. Instrukcye Jackowskiego przyniosły żniwo, które może jeszcze nie jest uprzątnięte. Z pod jego feruły wyszli w całem słowa znaczeniu wybornie wyuczeni propagatorowie katolicyzmu wśród rosyjskiej ludności Zabużja. Informowali oni, gdzie można znaleźć księży, którzy dadzą potajemnie metrykę krakowską. Jackowski był sądzony za to, że za cudzym pasportem przemieszkiwał. Wyrok opiewał, że ma być odesłany do granicy: „Wrzucono ze złością szczupaka w rzekę,“ jak mówi Kryłow w swej bajce. I odetchnięto przecież: „No już nie będzie ani donosów, ani kłopotów i ludzie będą ostrożniejsi.“

Tymczasem już w samej Warszawie pojawił się niebawem cały zastęp księży wykształconych przez jezuitów w agitacyi wśród unitów. W r. 1880 na Koszykach wyszpiegowano księdza, dającego śluby unitom i wydającego krakowskie metryki, których do tej pory znajduje się niemało u księży trudniących się propagandą. Administracya znów poczęła przysięgać, że to jedyny taki ksiądz. który itd., a reszta to ludzie oddani rosyanom. Ale nagle rozchodzi się wieść o jakichś podróżach do Rzymu niejakiego Frankowskiego, który nazwoził cały *arsenał* instrukcyj, metryk itd. Wsadzono więc Frankowskiego do turmy na 3 miesiące za... wyjazd bez pasportu.

Nic dziwnego, że przy takiej pobłażliwości, propaganda polsko-łacińska ciągle się wzmagała. Na prośbę Frankowskiego przysłano z za granicy do Warszawy słynnego z pracy swej w Indyach jezuitę Franciszka Brajera. Przyjechał on do Warszawy i otworzył tam przy ul. Marszałkowskiej sklep winny, i niby to skupując po dworach stare wina, wciąż jeździł po guberniach siedleckiej i lubelskiej, agitując i nawracając. Ale zbyt energiczne jego sukcesy zwróciły na niego uwagę, i był ujęty przez żandarmów w Sokołowie, gdzie propaganda polska mocno się krzewiła. Sokołowianie odbili Brajera i przesiedzieli za to w więzieniu po 2 i 4 miesiące. Owocem działalności Brajera był wyjazd w deputacyi do Rzymu Frankowskiego, który za powrotem aresztowany na granicy, zesłany został do Kiryłowa w gub. nowogrodzkiej, skąd pomimo czujnego nadzoru policyi, zdołał uciec za granicę. Podróży Frankowskiego do Rzymu wśród odbudowców ojczyzny przypisywano ogromne znaczenie. Skorzystali oni z okazyi, aby rozsiewać wśród ludu wieści, że religią główną w gub. siedleckiej i lubelskiej jest katolicka, i dlatego mianowano biskupów, a papież nie opuści wiernych unitów i niebawem nadeszle misyonarzy. Silni tym sukcesem, rozpoczęli tem większą agitacyę, wśród której odznaczył się „jaśnie wielmożny“ Łubieński, bogacz, niedawno wydalony z kraju przez rząd. Mieli oni skuteczną pomoc w osobie nowokreowanego biskupa Wnorowskiego, który był na zesłaniu za udział w powstaniu 1863 r., a teraz żył w szczególnej przyjaźni z głównymi przedstawicielami władzy w gubernii. On sam nawet osobiście chrzcił po katolicku dzieci prawosławnych itd.

Jednocześnie prawie w Lublinie prowadzi agitacyę znakomity w swoim rodzaju jezuita galicyjski Sz., który osiadł u pewnego obywatela niby jako guwerner, i przywiózł z sobą mnóstwo metryk podpisanych przez krakowskiego dziekana ks. Serwatowskiego. Celem działalności tak jego. jak i jego kolegów, była nietylko propaganda katolicka na rosyjskiem Zabużju, ale związanie, skojarzenie ludności tutejszej z krakowską. Jest rzeczą godną uwagi, że władza sądowa dokumentom tym, rozsiewanym wśród nas przez wrogów, przyznawała moc prawną, co wprowadzało tylko w błąd lud prosty, legalizując niejako działalność tych misyonarzy. Owemu Sz. dopomagali za wiedzą biskupa Wnorowskiego dominikanie lubelscy. W ich to klasztorze wszystkie rzeczone obrzędy i sakramenta były dostępne dla unitów, którzy też tłumnie zewsząd tam dążyli. Władze lubelskie z razu wyprzysięgały się, że tam nic się nie dzieje, ale czasy Albedyńskiego minęły, i całą organizacyę wykryto. Atoli nie w Lublinie, ale w Warszawie znajduje się ognisko tej propagandy jezuickiej. Tylko co dokonane odkrycia w klasztorze kamedułów na Bielanach, przekonywają, że tak jest. Tutaj, w ce-

lach zakonników odbywały się śluby, chrzty i inne obrzędy. Teraz winni oo. kameduli zostali ujęci."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Z wystawy. Doroczna wystawa inwentarza i przedmiotów, mających związek z hodowlą, została już zamkniętą. Nie dajemy z niej szczegółowego sprawozdania, gdyż nie przedstawia ona materyału do wniosków o stanie hodowli inwentarza u nas. W popisie przyjmuje udział ograniczona i powtarzająca się corok bez zmian prawie w składzie swym liczba wystawców. Właściwie wystawa stała się targowiskiem, na którem corocznie sprzedaje się za 60,000 rs. okazów, posiada więc ona tylko znaczenie specyalne.

Teatr. Towarzystwo poznańskie w Alhambrze wystawiło komedyę p. Z. Przybylskiego p. t.: *Wicek i Wacek*, odznaczoną na ostatnim konkursie.

Konkurs dramatyczny. Ten sam komitet, który niedawno sądził utwory nadesłane na konkurs imienia Wojciecha Bogusławskiego, ogłasza znowu nagrodę w kwocie 1000 rs. im. A. Żółkowskiego — za najlepszy utwór dramatyczny, osnuty na tle współczesnem i posiadający warunki sceniczne. Utwory winny być nadsyłane pod adresem redakcyi *Gazety polskiej* przed 1 września 1887 r. Sędziami będą pp.: W. Bogusławski, J. Brzeziński, P. Chmielowski, D. Henkiel, J. Kenig, W. Kretkowski, E. Leo, W. Szymanowski i J. Tatarkiewicz.

Sprawy prasowe. W zeszłym tygodniu sąd okręgowy warszawski roztrząsał aż 5 spraw o potwarz i dyfamacyę, wytoczonych redaktorom kuryerów: *Porannego*, *Codziennego* i *Warszawskiego*. Z wyjątkiem jednej, w sprawach tych zapadły wyroki uniewinniające. Charakterystycznem jest, że redaktora *K. Porannego* skarżył o dyfamacyę oszust, który na śledztwie sądowem okazał się t. zw. złodziejem pobytowym, kilkakrotnie karanym i niemającym prawa mieszkać w Warszawie.

Obostrzenia. Z powodu uchylania się żydów od powinności wojskowej wydane zostało rozporządzenie, na mocy którego rodzina każdego zbiegłego rekruta zapłaci 300 rs. kary, kto zaś wskaże lub schwyta żyda, ukrywającego się od służby wojskowej, otrzyma wynagrodzenie pieniężne, stosownie do uznania ministra spraw wewnętrznych.

Muzeum przemysłu i rolnictwa urządza w jesieni wystawę wyrobów przemysłu krajowego, służących do urządzenia i ozdoby mieszkań.

Wywłaszczenia. Od 1873 do 1884 roku sprzedano w Galicyi w drodze przymusowej 12,449 osad włościańskich, 9,046 gospodarstw przeszło w ręce żydów. Po co tu więc kolonizacya, kiedy za lat kilkadziesiąt żydzi i tak wykupią ziemię? Należałoby raczej myśleć o wręcz przeciwnych środkach, jak np. o wydaniu prawa, zabraniającego nie-włościanom kupować grunty chłopskie.

Bibliografia. *Projekt ustawy rzemieślniczej*, wydany przez Oddział warszawski Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

— K. Brodziński. *Wiesław.* Wydanie ozdobne in folio, z ilustracyami Juliusza Kossaka. Wstęp krytyczny i życiorys Brodzińskiego napisał Maryan Gawalewicz.

— *Sprawozdania meteorologiczne* za miesiąc luty i marzec.

— Wacław Nałkowski. *Uwagi krytyczne do mapy poglądowej Królestwa Polskiego.*

Nagroda. Wiedeńska Akademia umiejętności udzieliła nagrodę, przyznawaną co 3 lata za prace, które najbardziej posunęły postęp nauk fizyczno-matematycznych — prof. Z. Wróblewskiemu z Krakowa.

Dziady Mickiewicza przetłomaczone zostały na język angielski przez p-nę Biggs.

Towarzystwo historyczne zawiązuje się we Lwowie z inicyatywy prof. Liskego; składają je przeważnie uczniowie tego uczonego. Towarzystwo zająć się ma głównie badaniem dziejów Rusi Czerwonej i zamierza wydawać pismo p. t.: *Przegląd historyczny*, poświęcone sprawozdaniom z ruchu na polu dziejoznawstwa.

Wędrowny prelegent. P. Janikowski objeżdża z odczytami swymi wszystkie miasta w Królestwie; był już w Płocku, Lublinie, Sieradzu, teraz przemawia w Kaliszu, wkrótce więc ogół nasz lepiej znać będzie Kamerun, aniżeli kraj własny.

Granice... dozwolonej głupoty przekroczyli obywatele z okolicy Jarmoliniec, w gub. podolskiej, którzy w tem miasteczku zakładają — towarzystwo wyścigów konnych.

Emigracya. W r. z. osiedliło się w Rosyi, przeważnie w guberniach zachodnich, 164,000 niemców. Koloniści najchętniej nabywają grunty w gubernii wołyńskiej.

Zmarli. Jan Juszkiewicz, filolog, autor wielkiego *Słownika języka litewskiego*, nagrodzonego przez Akademię nauk w Petersburgu, ale niewydrukowanego dotychczas.

— Anna Libera, znana w piśmiennictwie pod imieniem Anny Krakowianki. Przed 1846 r. przyczyniła się wielce do rozbudzenia życia umysłowego w Krakowie, utwory jej wówczas cieszyły się wielkiem powodzeniem, później zapomniano o nich. Poezye jej wyszły w 1842 i 1846 r., z większych rzeczy napisała poemat: *Małgorzata z Zębocina* i dramat pt.: *Jadwiga*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

U. k VII. 1) W języku polskim tylko Trejdosiewicza; 2) wydanie drugie nie pokryłoby może nakładu.

P. W. W. w Pł. Kiedy sam wiersz jest dosyć pośledniego gatunku i zawiera zwykłe klątwy pesymistyczne.

Eskiemu. Postaramy się zużytkować.

S. G. Nad kwestyą tą *Prawda* zastanawiała się już szczegółowo przy sprawozdaniu z dzieła Romanesa.

Br—is w Pet. Odpowiedzieliśmy listownie.

Ig. S. Stara historya w starych ramach.

Ogłoszenia.

Komisya wyznaczona na Ogólnem zgromadzeniu Członków Warszawskiego Towarzystwa opieki nad zwierzętami, odbytem w dniu 23-go maja r. b. dla przejrzenia instrukcyi wewnętrznego postępowania i ułożenia nowego projektu regulaminu dla Zarządu, najuprzejmiej prosi wszystkich pp. Członków Towarzystwa, aby raczyli nadsyłać swoje uwagi i zdania względem wspomnianej instrukcyi, najpóźniej do połowy sierpnia r. b. na imię rzeczonej Komisyi, do kancelaryi Zarządu Towarzystwa (Warszawa — Leszno, Nr 2).

Członkowie Komisyi:

M. Kazimierzowski, L. Frindt, J. Starzyński.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Іюня 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.